Nr. 10. Lwów, dnia 1. Października 1884. Rok VII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie

ZWIERZĘTA ŁOWNE.

KOZICA.

(ANTILOPE RUPICAPRA, GEMSE.)

PRZEZ

Dra. M. Nowickiego.

(Ciąg dalszy.)

Ruja. Kozy i capy w trzecim roku zdatne są do rozrodu i parzą się już w tym wieku, co poznano po rożkach kozic, zabijanych w porze ścigania się czyli rui. Pora ta przypada na miesiąc listopad, a okoliczności jej towarzyszące są podobne do onych, jakie się spostrzega w ogóle u przeżuwaczów żyjących w wielożeństwie. I tak ustaje podczas rui towarzyskość capów, które przedtem żyły w miłej zgodzie; capy odbywają nadzwyczajny ruch po szczytach i dolinach, dobijają się o kozy, walcząc zapalczywie z sobą, a mocniejsze przemagają słabszych, t. j. odganiają je od samic i nie dopuszczają do spółkowania z niemi. [1])

Popęd do ścigania kóz obudza się [2]) w capach już około św. Michała. Jest to wszakże dopiero czas zalot, a właściwa ruja odbywa się około św. Katarzyny. Zachowanie się kozic w obu tych okresach jest następujące. Capy żyjące latem osobno i już to samopas już też w kierdelu po kilka, poczynają około św. Michała zbliżać się ku sobie i próbują się, który mocniejszy, a starsze odpędzają od siebie młodszych. Później szukają za kozami, a zdybawszy się w drodze, nie mijają się, lecz się potykają zapalczywie i znowu rozchodzą, czy to z własnego umysłu, czy też po przemożeniu jednego przez drugiego. Dopadłszy kozy z koźlęciem jeszcze ssącem, odpędzają niebożątko od niej, gdy jest capiorkiem; samiczkom dają pokój i te zostają przy matce. Gzy te i gonitwy capów po szczytach i dolinach trwają aż do św. Katarzyny. Atoli choćby capy zabawiały się w najlepsze, jednakowoż poczuwszy niebezpieczeństwo zaraz uciekają z miejsca igraszki, stają w pewnem oddaleniu, obzierają się, cupkają nogami o turnicę i dalej umykają. Wszakże opowiadano mi, że gdy strzelec wdzieje na siebie czarną cuchę, a głowę podwiąże białą chustą i w takiem przebraniu czyniącem go podobnym do kozicy skacze po grani, może capa złudzić i znęcić go dosyć blisko ku

[1]) Walki samców o samice u zwierząt żyjących w wielożeństwie są bardzo powszechne. Celem ich jest niedopuszczenie słabszych samców do spółkowania i zapewnienie tym sposobem silnego potomstwa.

[1]) Strzelcy wyrażają się: Capa porywa matura, cap bierze maturę.

sobie, gdy wiatr jest pomyślny. Cap bowiem na widok tak przebranego strzelca podchodzi ku niemu, mając go już to za capa, z którym radby się pogzić, już też za kozę, którą zalotami swemi chciałby zaszczycić.

Kozy nie mając jeszcze pod tę porę ochoty do parzenia się, trzymają się samopas lub w kierdelach do ośmiu głów liczących. Unikają nawet z pierwotku natrętnych capów, kryjąc się przed nimi w limbinach i kosodrzewinie lub turniach. Atoli rozlubieżone capy tak przed wschodem słońca i we dnie jak wieczorem uganiają się jak szalone halami i turniami i usiłują wypatrzeć kozy, a gdy je który z nich spostrzeże, pędzi ku nim gdyby strzała. Kóz ukrytych w gąszczu kosodrzewiny lub w limbinach żaden nie dostrzeże; przeto capy tędy goniące wietrzą po trawniku i znalazłszy trop kóz pędzą za niemi. Odszukawszy kozy, cap zostaje przy nich i pilnując ich, aby mu się nie rozbiegły, zagania je to z tej to z owej strony na upłazek między turnicami, ciągle przytem pobekując (pobrzeszczując). Gdy nie ma w pobliżu innych capów, natenczas legnie sobie przy kozach, dozwalając im paść się, kędy chcą.

Rzadko atoli uda się capowi używać pociechy małżeńskiej bez poprzednich walk gwałtownych z innymi capami usiłującymi odbić kozy dla siebie. Owszem walki te trwają dość długo, capy staczają je mężnie pomiędzy sobą, a jak w ogóle tak i tu zwykle silniejszy wychodzi z nich zwycięzcą. Strzelcy tatrzańscy opowiadają w tej mierze następujące szczegóły.

Gdy cap jaki nadbieży ku kozom, przy których jest już inny a mocny, ten zazdrością miotany przybysza nie dopuszcza, lecz staje z nim do walki, gdy dobrowolnie nie ustąpi. Wtedy oba nachyliwszy głowy potykają się uderzając rogami gwałtownie z boku pod brzuch i kaleczą się. W zapalczywości boju chwyci czasem jeden drugiego za ucho zębami tak silnie, iż je przegryza, a tak ukąszony lub wzięty na rogi beknie (zbrzeszczy) z boleści. Niekiedy strąci jeden drugiego z turni, ale zdaniem strzelców chyba przypadkiem, t. j. gdy stał nad przepaścią i nie spodziewał się nagłego napadu; z umysłu capy tego nie czynią. Tak więc bójka capów czasem źle się kończy. Atoli cobądź mocniejszy ostatecznie przemaga słabszego i wypiera go z pobojowiska i z pobliża kóz. Pobity jednakowoż nie zraża się przegraną, a lubo nie ma odwagi do ponownego starcia się, zabiega przecież znowu ku kozom to z tej to z owej strony, próbując, ażaliby mu się nie udało wkręcić się między nie podstępnie. Mocniejszy wszakże baczny na te tchórzliwe zabiegi, idzie wszędzie na jego spotkanie i nietylko go odpiera, lecz także daleko odgania od kóz, poczem zadyszany wraca ku nim tym samym szlakiem. Słabszy widząc to zawija jeszcze z dalsza i pędząc co tchu napowrót ku kozom usiłuje mocniejszego prześcignąć w biegu, ale zwykle bez skutku. Zapalczywe te gonitwy ponawiają się ciągle i trwają przy widocznem wysileniu obu zapaśników czasem pół dnia lub króciej. Wreszcie słabszy cap zmiarkowawszy, iż ani rączością w biegu ani siłą nie sprosta mocniejszemu i celu swych usiłowań nie dopnie, ustępuje wprawdzie z pobojowiska, wszakże zawsze jeszcze opodal od kóz trochę poleży lub postoi, patrząc z pożądliwością ku nim, podczas gdy dumny zwycięzca nie dowierzając mu daje nań ciągle pozór, mierzy go roziskrzonem okiem i ze złości pobekuje. Oba są tak umęczone, iż usta szeroko rozdzierają i całym pyskiem i nosem oddechają. Cap wyparty wytchnąwszy trochę zwraca się w inną stronę celem wypatrzenia innych kóz; gdy ich wszakże zgoniwszy się do upadłego nie znajdzie, kładzie się i leży dla odpoczynku. Wnet atoli znowu się w nim budzą chuci pożądliwe, prące go do pozyskania sobie małżonek, zrywa się więc z miejsca i pędzi dalej jak szalony dolinami lub wierchami, a gdy mu się poszczęści znaleźć kozy bez capa, zostaje przy nich; w przeciwnym zaś razie lub gdy były przy nich cap mocniejszy wróci, zmuszony jest ustąpić. Czasem się zdarza, że kilka capów naraz zbiegnie się ku kozom. Wtedy cap przy nich już będący jest w wielkich obrotach, rozogniony bowiem zawiścią i zazdrością miota się na wszystkie strony i brzeszcząc gniewliwie odpędza po kolei natrętów z rozdartym pyskiem i zdurzoną (najeżoną) grzywą. Kozy postępują bez oporu za zwycięzkim capem; iżby mu atoli pod jego chwilową nieobecność nie dochowywały wierności małżeńskiej, gdy się nadarzy zalotnik natarczywy, nie chcemy ich o to pomawiać.

Co do samego parzenia się, nie odbywa się ono w porze walk capów dobijających się o kozy. Albowiem gdy wonczas cap jednę z swych bogdanek zacznie naganiać, przyczem zniża głowę i brzeszczy, ona nie poddaje się jego zachciankom, jużto odskakując od niego, już też obracając się doń przodkiem i broniąc się nogami. Dopiero około św. Katarzyny przychodzi i na Kozy pora do miłostek małżeńskich, i odtąd odbywa się właściwa ruja. Gdy bowiem umizgający się cap zbrzeszczy do kozy, ona mu dotrzymuje i stoi, poczem cap prędko na nię hipnie, a gdy doskoczy, ona pilno wymyka się z pod niego [1]).

Według Tschudego trwa ruja kozic alpejskich do drugiej połowy stycznia. Co do jej trwania w Tatrach, nic pewnego strzelcy nie wiedzą. Opowiadają tylko, że cap z kozą jedną lub kilkoma pozostaje jakiś czas razem, poczem kozy kupią się w kierdele, capy zaś zwykle odłączają się od nich i żyją samotnie. Podczas ścigania się capy znacznie chudną, bo się wtedy nie pasą; cuchną też wówczas nieprzyjemnie, lecz nie wiedzieć, czy od przykrej woni moczu zwilżającego włos podbrzuszny, czy może raczej od tego, że w czasie rui nabrzmiewają im gruczoły znajdujące się za rożkami a wydzielające ciecz smrodliwą, jak o tem w opisie kozicy nadmieniono. Co do kóz godna jeszcze wzmianki, że niektóre pozostają jałowemi, jak to się też zdarza pomiędzy owcami i bydłem. Taką kozę ubito raz w Tatrach. Była ona tłuściejszą od ciężarnych, przytem podobną z ubarwienia capowi, chodziła samotnie i nie miała mleka w skurłatku.

Z i m o w i s k o. Ponieważ już podczas rui, a tem więcej po odbyciu takowej, zapada zima i kozice opuszczając letnie stanowiska udają się w miejsca niżej położone na zimowisko, przeto uważam za stosowne, rzecz o cięży i koźlęciu, któraby właściwie teraz skreślić należało, przegrodzić opisem sposobu zimowania kozic, do czego mnie i ta skłania okoliczność, iż chciałbym przedstawić życie kozicy tak, jak się ono w ciągu roku rozwija.

Przedewszystkiem nadmienić należy, że jak życie letnie kozic i ich zachowanie się w tej porze łatwo poznać i przedstawić, tak przeciwnie zbadanie ich doli i niedoli w czasie zimy jest zadaniem prawie niepodobnem, gdyż wtedy w góry iść nie można. Co więc strzelcy w tej mierze

---

[1]) Strzelcy wyrażają się: ona hip, hip, hip od niego.

wiedzą, wywnioskowują tylko ze spostrzeżeń na wiosnę czynionych, skąd też i mnie nie pozostaje, jak tylko poprzestać na podaniu poniższych szczegółów, o których wywiedzieć się mogłem.

Skoro tylko ku zimie śnieg w turniach zacznie padać (kurzyć) i takowe całkiem okryje, zasypując potem coraz niżej paszniste hale z kosodrzewiną, kozice nie mogą dłużej tam bawić, schodzą także coraz niżej, szukają wreszcie schronienia i żywności w limbinach lub na górnej granicy regli i zostają tu na zimowisko po jednej lub w kierdelu. Na ten cel obierają sobie zwykle stronę południową, bo tutaj nietylko cieplej, lecz także często dmą (dują) wiatry, które zmiatając (zdymając) śnieg odsłaniają paszę. Tschudi dodaje, iż w Alpach nieraz miano zauważyć, jakoby kozice z przeczucia obierały miejsca bezpieczne od śnieżnic; wszakże wybór ten nie zawsze bywa szczęśliwy i niejedna z nich od takowych ginie. Zdaniem też jego układają się kozice najchętniej pod rozłożystymi świerkami, których konary sięgając prawie aż do ziemi ochraniają suchy porost trawny od przyprószenia go śniegiem. W Tatrach zimują kozice także pod świerkami, pokazywano mi atoli w różnych miejscach także limbiny, wśród których zimowały i w ogóle rade zimują. Prócz tego układają się one czasem na wolnej nagiej turni lub w jej pobliżu, gdzie wiatry śniegi wciąż zdmuchują. Idąc raz zboczem Wołoszyna powyżej granicy leśnej, przechodziłem przez piąterko o powierzchni tylko kilkustopowej, przed którem z przodu otwierała się głęboka przepaść, z tyłu zaś sterczała stroma ściana skrzesana. Mnóstwo dawnego łajna czyli bobków [1]) na niem niezbitym było dowodem, iż musiało kiedyś służyć kozicy za legowisko zimowe, lubo zaiste nie można się dość nadziwić, jak ta kozica mogła przetrwać przykre czasy długiej zimy na tej wysokości niegościnnej i na miejscu tak otwartem.

Obrawszy raz tu lub owdzie stanowisko, wygrzebują sobie kozice w śniegu pielesz czyli dołek na legowisko, każda z osobna, gdzie ich jest więcej razem, co strzelcy tatrzańscy stąd wiedzą, że wyszedłszy z wiosny na polowanie, napotykali śnieg odgrzebany okryty bobkami. Po tych i po szlaku czyli tropie na śniegu zimowym poznawali oni także, czy jedna lub więcej kozic razem w pewnem miejscu zimowały; twierdzą też, że razem zimujące kozice z osobna się trzymają, a nie jedna tuż obok drugiej celem wzajemnego ogrzewania się, bez czego obejść się mogą, będąc wytrwałemi na zimno. Raz tylko widziano dwie kozice obok siebie leżące. Czy wreszcie kozice obierają sobie corocznie nowe zimowisko lub też wracają do łońskiego, jest i pozostanie niewiadomem.

O sposobie żywienia się i rodzaju żywności kozic podczas zimy była już powyżej mowa. Tu więc wystarczy zwrócić uwagę jeszcze tylko na to, że gdy kozice ułożą się w zimowisku płonnem, t. j. ubogiem w żywność, natenczas do wiosny bardzo zbiednieją i schudną, o czem przekonano się na okazach ubitych w tej porze roku. Dlaczegoby zasię zostawały na takich zimowiskach, a nie szukały lepszych, trudno odgadnąć, chyba że zaskoczone kurniawą nie zdołają się z nich wydostać. W zimach zawalnych, jaką n. p. była w Tatrach w r. 1867 na 1868, doznają zapewne wszystkie kozice wielkiego niedostatku i tylko wytrzymałość na post długi chroni je od śmierci. Mrozy zimowe nie tyle dają się im we znaki; zresztą namieniłem już w opisie Tatr, że na wysokości, na której kozice zimują, zimno nie zawsze bywa srozsze, aniżeli w krainach niższych.

[1]) Łajno w lecie jest rzadsze z świeżej, w zimie zaś bobkowate z suchej karmi.

Skoro ciepło wiosenne stopi nieco całun śniegowy pokrywający góry, a szczyty przez to staną się tu i owdzie przystępnymi, kozice przebiedowawszy zimę opuszczają swe zimowiska i wracają pełne otuchy do swych rodzinnych wysokości, racząc się trawką po koplinkach świeżo odrastającą. Przynajmniej strzelcy podówczas polujący nigdy ich już nie zastali w zimowiskach.

C i ę ż a, k o ź l ę, w i e k. Według Tschudego trwa cięża 20 tygodni, a kozy rodzą z końcem kwietnia lub w maju zwykle jedno młode w suchem miejscu pod skałą przewiesistą. W Tatrach spostrzegano koźlęta dopiero w drugiej połowie maja, a nadto zauważono, że się kozy często w limbinach kocą. Czy każda koza prócz wetul ma corocznie młode, nie wiadomo. Koźlęta nie przychodzą równocześnie na świat. Owszem widziane w pomienionej porze były różnej wielkości, a raz nie wzdrygano się ubić nawet kotną kozę, która miała w sobie koźlątko jeszcze wcale sierścią nieporosłe. Pochodzi to niewątpliwie stąd, że jakkolwiek ruja w jednym odbywa się czasie, przecież nie wszystkie kozy naraz zostają zapłodnione.

Koźlątko wnet po przyjściu na świat, gdy zaledwie przez matkę zostało oblizanem, zdolne jest iść za nią. Zrazu ani rączo pędzić ani też dobrze skakać nie może; w dwanaście zaś godzin człowiek uciekającego już nie zdoła dogonić. Cap nie troszczy się o młode, matka zaś jest bardzo troskliwa o nie, czuwa ciągle nad niem, śledzi bacznie wszelakiego niebezpieczeństwa możebnego, a gdy mu ssać daje, powącha je i zaś dokoła się rozpatruje. Podczas ssania koźlę zniża główkę i stojąc lub klęcząc na przednich nóżkach chciwie cyca, durkając sposobem cielęcia od czasu do czasu w skurłat matki. Przychodzi ono zrazu wprawdzie często do niej dla possania, ale cyca zawsze króciutko, gdyż matka wnet od niego odskakuje; w starszym wieku zaczyna się paść i tylko czasem possie. Według opowiadań strzelców nie dostanie też ono nad półkwatereczek mleka, bo i matka nie ma go więcej w skurłatku mniejszym od owczego lub koziego. Mleko jest czysto białe i gęściejsze niż owcze. Matka pasie się wiele podczas plekania koźlęcia i doi się na wszystkie cztery cycki, z których dwa przednie są dłuższe i mleczniejsze od tylnych; pospolicie ma mleko aż po św. Michale, po wszystkich Świętych zaś je traci. Okres ssania trwa zazwyczaj aż do pory rui, a więc ze sześć miesięcy lub dłużej; miano wszakże widywać roczniaki a nawet dwuroczniaki ssące. Że wreszcie stare capy podczas rui odganiają capiorki od matek, samiczkom zaś dozwalają przy nich zostać, o tem nadmieniłem już na innem miejscu, tu więc jeszcze tylko to dodać należy, iż Tschudi zaprzecza podaniom twierdzącym, jakoby koźlęta podczas rui nie cycały.

Barwa koźlęcia jest żółtawa i mianowicie w lecie znacznie jaśniejsza niż u starych, także na policzkach nie bywa ono tyle białe jak stare, lecz więcej żółtawe; w jesieni gdy mu odrasta dłuższa sierść ciemniejsza, przez którą pierwotna ciągle przebija, staje się burawem.

Rożków koźlę nowo narodzone nie ma. W lecie poczynają takowe odrastać, lecz są jeszcze pod skórą ukryte, tak że się tylko namacać dają, a za dotknięciem palcem

buli czyli guza nad niemi chwieją się. Po św. Janie aż do jesieni wznoszą się one całkiem prosto na jakie $^3/_4$ cala do góry, lecz choć się już wykłuły, wszelako ukryte są jeszcze w skrętku kudełek i przeto niewidoczne. Po św. Michale zaś zakrzywiają się w tył i w dół czyli mówiąc inaczej tworzą się kulki rożków, rosnące przez zimę aż do wiosny, u koźląt przy dobrem zimowisku sporzej, niż u innych. Odtąd już się kulki same nie zwiększają i tylko w górę idą skutkiem wzrastania na kilka cali swej prostej i gładkiej podstawy, która u nasady dostaje pierwszy karbik czyli obrączkę jako oznakę dotychczasowego odrostu rożków. W trzecim roku rożki dalej rosną, atoli już im mniej cali na długość przybywa niż w drugim, podczas gdy przyrost roczny znowu się karbikiem odgranicza. W czwartym roku nawet ich na cal nie przybywa, a w następnych coraz to mniej, tak że powstające między przyrostami rocznymi karbiki są coraz to bliższe siebie, im więcej się kozica starzeje. Czy i w jakim wieku rożki zupełnie róść przestają, nie wiadomo. Cap w piątym roku ma już należyte rogi; we dwa lata zaś jeszcze go za nie na kołku nie uwiesi, gdyż się zesmykują, zostawiając tylko chrzęść (możdżeń). [1]) Kozie rosną rożki prościej do góry, toż bliżej siebie między kulkami, gdyż głowa ich jest mniejsza; u większych i starszych bywają czasem niemal tak wysokie i rozstąpione jak u samców. Tyle opowiadają strzelcy tatrzańscy o wzroście rożków. Według Tschudego wykłuwają się one w trzecim miesiącu, dorastają w pierwszym roku prosto w górę półtora do dwu cali, zaczynają dopiero w drugim tworzyć kulki, a w trzecim są już zupełnie wykształcone. Giebla więc podanie, że rożki wykłuwają się w roku trzecim, należy poczytać za mylne.

W pierwszych latach koźlęta beczą (brzeszczą) jak kozy swojskie, w strachu stłumionym głosem, otwierając do połowy pyszczek, co też stare kozice przyparte czynią.

Ciekawem jest też zachowanie się koźlątek przy boku matki tak w ogóle jako też szczególnie w przykrych chwilach jej życia. Młodziuchne koźlę trzyma się wiernie matki, bieżąc latem zawsze za nią, a dopiero w jesieni, gdy zmocnieje, przed nią, jak to sam kilkakrotnie widziałem. Gdy matka chybko ucieka, uchodząc niebezpieczeństwa, a koźlę nie może za nią wystarczyć, to ona nań czeka. Jeśli atoli strzelec do niej strzelił, to luboby jej nie ubił ani też postrzelił, odbiega koźlęcia, które samo dalej hipka, nie wiedząc dokąd, i wreszcie nagle lega. Wszakże strzelcy nie wiedzą, jak długo ono leży, czy matka wraca po nie i jak się znów odszukują. Po ubiciu matki z kierdela koźlę starsze wraz z nim uchodzi, samo zaś, jeśli była samotna; wraca atoli znowu do jej trupa. Młodsze koźlę, nie znając jeszcze ucieczki (ucieku), zostaje przy ubitej matce i daje się ubić lub złapać. Nieraz też strzelcy wyzuci z uczucia łapali takie koźlątka, i można powiedzieć, tylko dlatego, aby się niem pobawić, a pozbawiwszy życia, wyrzucić, jak się to u nas niestety i z innemi zwierzętami, z ptakami i ich gniazdami dzieje. Pustota to w wysokim stopniu naganna, której położyć koniec byłby czas najwyższy!

O chwytanych koźlętach opowiadał Sieczka, jak następuje. Po zastrzeleniu matki na miejscu, koźlę dwudniowe leżące przy niej z wyżniej strony wstało na zadnie nogi, bo się zlękło strzału. W tej postawie zostało tak długo, aż raczkiem i bez zaszustania na szuwarku podkradł się ku niebożątku, któremu uszka drgały ze strachu, i chwycił je za tylną nóżkę. Przerażone tem koźlątko wyprężyło mu się w ręce jak struna, potem mierwiło (rzucało) się tak silnie, że je aż przytulił do siebie. Zabrawszy je z sobą, zniósł je na rękach w dół wraz z matką zabitą, poczem podniósł jej nogę zadnią, wziął cycek w palce i doił koźlęciu mleko do pyseczka, a ono się oblizywało. Onczas stało spokojnie na ziemi trzymane za boki koło przednich nóżek; wkrótce wzięło samo cycek do pyseczka i ssało najprzód jeden, a potem drugi. Do domu niósł je na rękach, związawszy mu poprzednio szmatą nogi, by się nie wyrwało. W drodze biedniątko chwytało go z głodu po twarzy jakby za cyckiem, a gdy się od piersi jego zagrzało, rozdarło cały pyszczek do oddychania i pobrzeskiwało od słaboty i głodu. Gdy je Sieczka litością zdjęty rozwiązał i puścił na ziemię, aby nie umarło, szło biedne za nim z 300 kroków, podczas gdy on naśladował głos matki (be-e-e), a potem legło. Wrócił się więc ku niemu i chwycił je pomału rękami, lecz ono wymknęło mu się, hipło ze cztery razy i znów legło. Sieczka skroczył ku niemu i silniej je chwycił, by mu się znów nie wyrwało, ale ono nie ciskało się już tak mocno jak poprzednio. Tak więc zaniósł je mocno brzeszczące z głodu do domu, gdzie mu z początku dawano ciepłego mleka do pyseczka, później zaś plekano pod kozą domową, nie zdołano wszakże utrzymać przy życiu, bo już po dwu tygodniach zginęło. Macocha z pierwotku brzeszczała i musiano ją obalać na ziemię (na lażączku zwalować), gdyż się bardzo bała koźlęcia. Powoli jednak przyzwyczaiła się doń i już w drugim tygodniu plekała je na stojączku, trzymana wszakże przez ludzi. Ilekroć powąchała koźlę, fukała nosem, koźlę zaś nie bało się wcale kozy lub owcy, tylko trzeba mu było zawsze wprzód do pyseczka nadoić mleka, potem dopiero chwytało samo cycek, chociażby nawet była macocha leżała. Inne koźlę przylubiła (przybrała) owca za swoje i wąchała je jak swoje, gdy ssało. Wszystkie atoli koźlęta, które tylko złowiono, były wprawdzie naremne do ssania, gdy je podkładano pod kozy lub owce, ginęły jednak na zatwardzenie, po którem następowało nagle nadzwyczaj silne rozwolnienie. W ten sposób zginęło marnie dość koźląt. Największe atoli szkody wyrządzał im Schmidt, były ongi leśniczy w Kościeliskach. Kazał bowiem umyślnie łapać koźlęta i trzymał je w domu mimo to, że mu każde najdalej do czwartego dnia ginęło. Łowili je także różni strzelcy, lecz prócz jednego nie dały się wychować i marły po kilku dniach niewoli. W końcu nadmienić wypada, że koźlęta dają się łapać tylko wczas na wiosnę, później bowiem rączo uciekają, a nawet złapane nie dałyby się dotrzymać.

Do rozpoznania wieku kozic służą rożki i zęby, mianowicie pierwsze przez cały ciąg życia, ostatnie zaś tylko do pewnego czasu, równie jak u bydła. Po rożkach poznaje się wiek w ten sposób, że się zważa na odchylenie rożków od siebie, na liczbę i odstępy karbików, których, jak już nadmieniono, od roku do roku po jednemu przybywa, podczas gdy odstępy między niemi coraz to maleją. Strzelcy tatrzańscy tak się o tem wyrażają: Z pierwotku rożki popędzają od głowy do góry, potem rosną coraz wolniej, a więc i odstępy pomiędzy karbikami są coraz mniejsze. Co do zębów, to uważa się, czy są mniej lub więcej zużyte. Jakiego wszakże wieku kozice w ogóle dójść mogą, o tem

[1]) Strzelcy w takim wypadku oszukiwali kupujących według własnych zeznań w ten sposób, że zesmyknięte rożki przylepiali smołą lub przybijali gwoździkami do możdżenia.

nic pewnego podać nie można, gdyż z jednej strony brakuje dat odpowiednich, z drugiej zaś prześladowania, jakim kozice ciągle ulegają, rzadko której z nich dozwalają zginąć ze starości. Tschudi przyjmuje za wiek prawidłowy 30 lat. Z Tatr znany tylko jeden przykład wieloletności. Przed laty bowiem miano tam ubić pod Młynarzem nad Żabiemi stawami podczas rui capa tak starego, iż mu nie było nawet znać siekaczów, tak dalece były zjedzone. Prócz tego miał rożki mocno naprzód i na boki pochylone, a między kulkami na dwie piędzi od siebie odchylone, co zdaniem strzelców jest także dobrą miarą starości, gdyż rożki starszych capów mają się prawidłowo nachylać naprzód i na boki, tak że pasące się zwierzę dotyka niemi prawie trawy. Inny stary cap w Tatrach ubity miał rożki przy kulkach na stopę od siebie na boki odchylone.

Oswajanie, krzyżowanie, aklimatyzacya. Wychowanie koźląt jest bardzo trudne. W niewielu wypadkach, w których przy wielkiej troskliwości zdołano utrzymać przy życiu koźlątka, dały się takowe łatwo oswoić, a młodziutko złowione nawet bardzo nawykały do człowieka. Świadczy o tem następny przykład z Tatr. Strzelcowi Sieczce udało się z siedmiu koźląt jedno tylko wychować. Za ciepłem mlekiem krowiem, którem je żywiono, chodziło biedniątko przez dwa miesiące za gospodynią na Gąsieniców potok i nazad z nią wracało. W chacie wyskakiwało na nalepę i tam spokojnie leżało. Skoro zaś nadszedł żebrak odmawiający głośno pacierz lub jaki inny obcy człowiek, uciekało za piec. Gdy gazdzina poszła bez niego w pole, skokło (hipło) z nalepy na ławę pod okno, patrzyło smutnie przez nie na dwór i żałośnie brzeszczało. Sprzedano je potem na Spiż pod Spady, gdzie je na drugie lato konie na podwórcu stratowały, gdy sobie igrało. Wszystkie inne złapane koźlątka i mniej starannie chowane nie utrzymano nad kilka dni przy życiu i wiele ich tym sposobem zmarniono.

Możność oswajania kozic poświadcza także Tschudi. „Młodo schwytane koźlęta,“ pisze on, „łatwo się oswajają, żyją atoli krótko i nie są tak silne, jak w stanie dzikim. Karmi się je naprzód koziem mlekiem, potem młodą trawką i ziołami, także kapustą, chlebem. W zachowywaniu swojem wielce podobne są do kóz, lubią igrać z koźlętami swojskiemi, chodzą poufale za panem swoim, żyją w zgodzie z psami i nawet od obcych biorą strawę. W zamknięciu swojem lubią mieć wysterki kamieni i rade na nich stawają. W zimie nie trzeba im ciepłego przysposabiać legowiska, dosyć dać im pod otwartym daszkiem nieco pościałki. Trzymane w stajni lubiły wśród zimy leżeć pod oknem otwartem, którem dobrze wiało i śnieg prószył. Nieraz atoli obudzi się w nich wrodzona dzikość i wtedy rogami obcych niebezpiecznie kaleczą. Koźlęta złowione w starszym wieku i trzymane w niewoli pozostają bojaźliwemi i są zawsze gotowe do ucieczki, skoro się kto do nich zbliży. Kozice w ogóle jako stworzenia żyjące towarzysko i w zgodzie ze sobą, a przytem nie znające nieprzyjaźni ku innym zwierzętom, przyłączyłyby się do stad bydła, dałyby się oswoić i zamienić w zwierzęta domowe, gdyby bezustanne nieprzyjaźne występowanie człowieka przeciw nim nie były je przejęły nieprzezwyciężonym wstrętem ku niemu. Pytano się często, czyby staranne i stosowne pielęgnowanie nie zamieniło kozicy w pożyteczne zwierzę domowe, rozumie się samo przez się, tylko na czas zimy, w lecie bowiem tak jak stada kóz trzymaćby je wypadało. Jak koziorożec dawniejszemi czasy w małych kierdelkach przez wiele pokoleń żył i rozmnażał się w dolinach, toż i z kozicami to samoby mogło być, a skoro one w górach na skąpej przestawają strawie, toć przy obfitszej paszy dostarczyłyby więcej mleka i mięsa“.

Krzyżowania kozic z kozami domowemi w Tatrach nigdy nie próbowano. W Alpach udało się to według Tschudego, a według Giebla oswojone kozice parzą się także z kozą domową. Parzenie kozic oswojonych między sobą mimo trudu, jaki sobie w tej mierze zadawały *Jardin des plantes* w Paryżu, towarzystwo przyrodnicze w Kameryaku lemnońskim (Chambery) i inne zakłady, udało się tylko w dwóch udowodnionych wypadkach. Fabrykant Lauffer w Kameryaku dostał 1850 r. kozicę samicę, a 1852 r. capa. Roku 1853 koza urodziła młode, które wszakże wnet po urodzeniu umarło. Roku 1855 ta sama koza wydała drugie młode na świat, zdrowe i żwawe zwierzątko. Częściej udało się parzyć kozy swojskie z capami kozicowemi. Koźlęta miały po matce tylko ubarwienie, po ojcu zaś silną budowę ciała, wysokie czoło, dzikość i wielką ochotę do skakania i spinania się, mianowicie ku wieczorowi nie mogły się dosyć naskakać, zupełnie tak jak oswojone kozice. Zdarzało się atoli w Alpach już nieraz, że kozy swojskie trzymane w halach, zaplątawszy się w turniach, przyłączyły się do kozic, z niemi razem zimowały i dopiero na wiosnę zostały odszukane albo do domu wracały.

Aklimatyzacyi kozic próbowano w Norwegii, o czem doniosła lipska ilustrowana gazeta z r. 1866 w nrze 1183 na str. 150. Dowiadujemy się z niej, że w roku 1862 przesiedlono kilka młodych kozic, pomiędzy niemi dwa capy, z Bawaryi do Lauerrik w Norwegii. Atoli ta pierwsza próba przesiedlenia kozic w inne podniebie nie udała się. Zdaniem ministra Lövenskiolda, który się nią zajął, kozice były za łaskawe, mięszały się zanadto na paszy w górach między kozy domowe i uległy skutkiem tego po części kołowaciźnie. Ostatnia z tych kozic płynąc przez staw utonęła. Zamierzono przeto zrobić drugą próbę i wziąć się inaczej do rzeczy. Może ją lepszy uwieńczy skutek.

Nieprzyjaciele i ubywanie kozic. Głównym nieprzyjacielem i tępicielem kozic jest człowiek; mniej cierpią one od zwierząt drapieżnych, czasem giną także z przypadku. O niedźwiedziu twierdzą Podhalanie, że nie dopadnie kozicy ani sarny. Tschudi zaś nadmienia, że niedźwiedź biegł raz za kozicą aż do wsi, gdzie się skryła do szopy. Wilki gdy się zabłąkają w Tatry, gonią je nieraz aż pod same szczyty, mianowicie w zimie zawalnej. Rysia w Tatrach już nie ma, w Alpach zaś czyha on na nie gdy w zimie kryją się w lasy. Latem prześladują je w Tatrach psy owczarskie juhasów, mianowicie spiskich, liptowskich i orawskich. Nie łapią one ich wprawdzie, gonią ich jednak tak długo, aż kozica wskoczy na nieprzystępną dla nich turnię, poczem wracają. Jakoż kozice bardzo się psów boją, są bowiem więcej przez nich ścigane, aniżeli sarny, a przedewszystkiem są psy niebezpieczne dla młodych koźląt. Wala miał pieska kurlandzkiego, który wykradłszy się z domu szedł za nim w szczyty. Zwietrzywszy kozice, pędziła bieda jakby opętany ku nim i gonił dopóki mógł, co sam raz widziałem na własne oczy. Z Wołoszyna przypatrywałem się z Walą pasącym się kozicom. Wala znając zapalczywość swego pieska i ostry węch jego, schował go do torby, aby nam nie popsuł widowiska. Gdy zaś kierunek wiatru się zmienił, a kozy nas poczuły i poczęły uciekać,

wstaliśmy z zasadzki, a Wala wypuścił pieska, który w jednej chwili zwietrzywszy kozice, popędził gdyby strzała za niemi. Goniąc zwaliskami skał, to znikał pośród nich, to znów wychodził na jaw, i tak gonił za kozicami nie wiadomo jak długo i dokąd, bo się potem nie wrócił do nas, lecz poszedł do domu. Że psy juhaskie także świstakom nie dają spokoju, wiadomo; niemniej to, że zapamiętali strzelcy biorą ze sobą psy na polowanie w Alpach na kozice, jak o tem nadmienia Tschudi. Kozice napastowane od psów bronią się im rożkami, których ostrym końcem brzuch im rozrywają.

W Tatrach orzeł przedni *(Aquila fulva)* i zys *(Aq. chrysaëtos)* stają się czasem dla kozic niebezpiecznemi, zwłaszcza gdy się tam w pewnych latach liczniej pojawią. Jakoż znane są wypadki napadania tych orłów na kozice. I tak np. znaleziono na Mięguszowieckiej dwurocznego capiorka zabitego od orła; we Walentkowej widziano znowu bisagi czyli kościec całkiem odzióbany, a pod Swinnicą od strony Pięciu stawów naszedł Dr. Janota kości z kozicy zapewne także przez orła zabitej. Sieczka podybał także raz wetulę właśnie co pokonaną przez orła. Ślady pazurów na jej ciele przy łopatkach, a między niemi aż do kości wydzióbana dziura tak wielka, iż pięść by w nię wlazła, naprowadziły go na domysł, że biedaczka była srodze prześladowaną, co też i to potwierdzało, że uciekając mocno farbowała, a goniąc na oślep złamała limbkę na drodze wywróconą od wiatru. Zapewne więc pędziła z orłem na sobie aż pod kosodrzewinę, gdzie padła trupem. Sieczka obaczywszy nieopodal orła siedzącego, powziął przekonanie, że to tego rabusia sprawka, nieżywa wszakże wetula nie była jeszcze odeń nadjedzona, gdyż po dopiero co dokonanem morderstwie nie miał on jeszcze czasu raczyć się swą ofiarą, a może mu w tem Sieczka przeszkodził.

Zazwyczaj czyhają orły tylko na koźlęta, gdyż im te łatwiej porwać i unieść. Matka ujrzawszy krążącego orła gwizdnie i cupka nogami, kierdelek zaś zbija się wtedy w kupkę i bierze koźlęta między siebie, które tam cichutko stoją lub przyklękają. Matki zwracają się bezustannie w tę stronę, skąd orzeł się zakrada, co po jego cieniu poznają. Gdy tenże wreszcie z szelestem na nie uderza, spuszczając nogi i szpony szeroko rozwierając, natenczas przerażone kozice, wybekując trwożliwym głosem we-we-we, odpierają zwinnie napad orła rogami, co według Tschudego i alpejskie czynią. Orzeł tedy nie mogąc się przebić do koźlęcia przez gąszcz rogów nastroszonych, odlatuje z niczem. Łatwiejszą oczywiście ma sprawę, gdy mu się uda dopaść samotnej kozicy z koźlęciem, wtedy bowiem łup go zwykle nie mija.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wycieczka do Białowieży.

PRZEZ

Zygmunta Glogera.

Rozmaite są objawy martwoty społecznej. Jednym z nich jest niewątpliwie obojętność na osobliwości przyrody i skarby ziemi rodzinnej, obojętność będąca siostrą niedbalstwa. Uwaga ta nastręczyła mi się, gdy w końcu Maja 1880 zwidzając puszczę Białowieską dowiedziałem się, że pomimo dobrych dróg i kilkomilowej odległości od stacyi Bielska, drogi żelaznej Brzesko-Grajewskiej, rzadko kto przybywa zobaczyć ten najpiękniejszy z lasów w Europie i słynne, osobliwe, dziko żyjące w nim zwierzęta. Przebiegłem też w pamięci nasze piśmiennictwo czasów ostatnich i znalazłem w niem dziwną pustkę w tej mierze. Ojcowie zajmowali się jeszcze więcej, ale synowie zobojętnieli nad wyraz. Ci, którzy chcą ustrój społeczny reformować na swój sposób, celują w nieznajomości kraju, tego podłoża, na którem właśnie rozwinął się i urobił ten ustrój.

Jechałem drogą z Narewki. Jest to wioska chełpiąca się mianem miasteczka, nad rzeką Narewką, na pograniczu puszczy położona. Olbrzymie, proste i wyniosłe dęby powitały nas na wstępie szmerem swych liści. Zdawały się one ponuro szemrać i wyciągać potężne ramiona ku niebu na widok rówieśników i kilkowiekowych towarzyszów, których pełzająca przy ziemi piła handlarzy powaliła tuż obok na ziemię, gdzie w pyle i błocie tarzały się ogromne kłody, mchem długim a siwym brodate.

Szum puszczy poważnie nastrajał ducha. Każdy ogrom zawsze robi pewne wrażenie na umyśle ludzkim, czyto ogrom wód morskich, czy kraju widzianego z wysokiej góry, czy ogrom otchłani w podziemiach Wieliczki, czy powódź ludu zgromadzonego na obchód uroczysty, czy powódź zielonej puszczy starożytnej a nieprzejrzanej. Prawie trzy mile z Narewki do Białowieży t. j. do środka puszczy jedzie się lasem, przedstawiającym dziwną mięszaninę dębu, jasionu, grabu, wiąza, brzostu, klonu, brzozy, olchy, osiki, jarzębiny, sosny, jodły i lipy. Drzewa te walczą z sobą olbrzymiemi rozmiary i wzrostem, a mięszanina ich sprawia wielce piękny i ciekawy pozór lasu. Uklękliśmy przed dębem, którego we dwóch nie mogliśmy objąć, bo musiał pamiętać polowanie Stefana Batorego, po którym została tu głucha tradycya wśród ludu i miejsce zwane Batorową górą. W miarę zbliżania się do Białowieży las stawał się piękniejszym. Nie wiedzieliśmy którym drzewom przyznać należy pierwszeństwo wzrostu, które tu królowało? Sosny i jodły zdawały się w niebo sięgać, a wysmukłe brzozy, strzelając w górę, żeby zachwycić słonecznego światła, prawie dosięgały ich wierzchołków. Przy lipach Białowieskich lipy ogrodów naszych, choć nieraz grubsze, jakże wzrostem karłowato się wydają. Latem panuje tu cień wieczny, a na wiosnę śniegi leżą o dwa tygodnie dłużej, niż na polach i nieraz zdarza się, że gdy koło Bielska i Swisłoczy drogi już obeschły, w puszczy najlepsza jeszcze sanna.

W niektórych sosnach widać na znacznej wysokości dłubane w dawnych czasach barcie. Wiele ogromnych sosen stoi suchych. Skończyły one swój kilkowiekowy żywot ze starości, a poczerniałe ich szkielety, stoczone przez robactwo, podziurawione przez dzięcioły, dumnie natrząsają się jeszcze piorunom i huraganom. W wielu miejscach całe grupy tych nagich, bez kory, martwych, milczących olbrzymów, jak zaklęty tłum kościotrupów, dają widok, którego gdzieindziej darmo szukać. U podnóża ich, niby pobojowisko, czernią się łomy odwieczne bujnym mchem i grzy-

bami porosłe, tu i owdzie w stosy ułożone, gnijące, bo nikt ich na opał brać nie chce. Niektóre kłody z korą dobrze zachowaną robią wrażenie zdrowego jeszcze drzewa, a jednak są tak zbutwiałe, że kilkostopową średnicę lekkiem uderzeniem laski na wylot przebić łatwo. Największa sucha sosna kosztuje tu kilka złotych, ale przy ścinaniu olbrzym taki, padając na ziemię, łamie nieraz kilkanaście drzew innych, a gdy cisza panuje w naturze, to łoskot jego upadku, jak salwa pogrzebowa, daje się słyszeć w puszczy na mil kilka.

Słusznie powiedział ktoś, że dziś, gdy zniknęły z ziemi naszej wielkie bory, padły pod siekierą spekulacyi i nieładu słynne puszcze, jako pamiątka ostatnich, pozostała tylko puszcza Białowieska, przypominająca ogromem swoim starodawne puszcze polskie i dawnego Mazowsza. Rozległość jej wynosi 95.759 dziesięcin, czyli 191.518 morgów t. j. około 6.384 włók miary nowopolskiej, a 22 mil kwadratowych. Od dawnych czasów dzieliła się na 12 straży: Augustowską, Narewską, Bruwską, Hajnowską, Leśniańską, Starzyńską, Stołpowiską, Krakowską, Okolnicką, Świetliczańską, Pobielską i Dziadowłańską. Straże te ustanowione były w dawnych czasach celem ułatwienia dozoru i mają mniej więcej kształt trójkątów, których wierzchołki schodzą się w środku puszczy, koło Białowieży, a boki im przeciwległe stanowią granicę zewnętrzną, gdzie znajdują się domy strażników. Granice straży stanowią linie proste na 12 łokci szerokie, a na kilka mil długie. Rozgraniczenie to odnoszą miejscowe podania do bardzo dawnych lat, gdyż najstarsi ludzie w puszczy nie pamiętają, a nawet od ojców swoich nie słyszeli, kiedy te tryby graniczne przecinano po raz pierwszy. W ogóle napotkać tu można niejeden ślad starodawnego porządku i ładu, który względnie do swego czasu i położenia był chwalebnym i postępowym. Za to w czasach olbrzymiego rozkwitu nauk przyrodniczych, w czasach, w których teorya pozytywizmu jest na ustach każdego prawie kształcącego się młodzieńca, musimy zarumienić się za brak ścisłej, pozytywnej pracy naukowej w tych naszych szeregach i wyznać, że puszcza Białowieska ze swoją bogatą roślinnością nie została jeszcze gruntownie zbadana pod względem botanicznym ani entomologicznym, a nawet nie mamy dobrej monografii żubra, jak o tem sądzić należałoby z bardzo powierzchownego i krótkiego opisu w „Encyklopedyi“ Orgelbranda.

Środkiem puszczy przepływa rzeczka Narewka, która za jej obrębem łączy się z Narwią, mającą swoje źródła na wschodniem pograniczu puszczy. Narew okrążają lasy Białowieskie od północowschodu, oddziela je zarazem od puszczy Świsłockiej. W środku puszczy Białowieskiej nad Narewką, na wielkiem karczowisku, istnieją trzy wsie: Stoczek, Podolany i Zastawa, tudzież dwór i folwark królewski, w dawnych czasach zapewne od jakiejś białej wieży nazwany Białowieżą. W dolinie Narewki, przy drodze z Zastawy do dzisiejszego cesarskiego dworca, wznosi się na brukowanem podwyższeniu, dziś opuszczony i mchem porosły pomnik w kształcie obelisku, czworogranny, z piaskowca, około sześć łokci wysoki, z napisem w języku niemieckim i polskim, który brzmi jak następuje: „Dnia 28. Septembra 1752 r. Najjaśniejsze Państwo August III. król polski, elektor saski, z królową Jejmością i królewiczami Ichmość Ksawerym i Karolem tu mieli polowanie żubrów i zabili 42 żubrów t. j. jedenaście wielkich, z których najważniejszy ważył 14 centnarów i 50 funtów, 7 mniejszych, 18 zubrzyc, 6 młodych. Trzynaście łosiów, t. j. 6 starych, najważniejszy ważył 9 centnarów 75 funtów, 5 samic, 2 młodych, 2 sarny, suma 57 sztuk“. Dalej następują nazwiska dygnitarzy koronnych i litewskich, przytomnych na polowaniu i służby łowczej, która brała znaczniejszy udział w nich. Brinken w dziele p. n. „*Memoire descriptive sur la fôret de Białowieża* Warszawa 1826 opisał to polowanie podług opowiadania sędziwego starca, który je dobrze zapamiętał. W liczbie strzelców wymieniony jest na tym pomniku niejaki Ejchler. Przypadek zrządził, że przed kilku laty poznałem na Litwie jego wnuka, 70-letniego starca, który także już umarł. Ten opowiadał mi, że dziad jego z Saksonii rodem, był strzelcem przy królu, który lubił polowanie na głuszce i brał zawsze z sobą Ejchlera, gdy w czasie pobytu w Białowieży zapuszczał się pieszo w dziki ostęp, zwany Konik, gdzie na wysokich drzewach gnieździły się licznie te ogromne a nader trudne do podejścia ptaki. Od owego czasu trzy pokolenia Ejchlerów spolonizowanych pełniły sumiennie obowiązki w straży leśnej w obrębie puszczy. Ostatni z nich, który służył w puszczy, opowiadał mi także ze wspomnień swego ojca, iż koniec wieku zeszłego był bardzo zabójczym dla grubszej zwierzyny tutejszej. Gdy bowiem za cesarza Pawła w umundurowaniu armii zaprowadzono pasy łosiowe i polecono tysiąc skór łosich z Litwy dostarczyć, najwięcej dostarczyła Białowieża. Na zachodniej stronie puszczy szła wtedy granica sucha od okolicy Orli i Bielska, przyłączonych do posiadłości pruskich. Z za kordonu tego wypadały bandy chłopów, zwanych od strzelców kłusownikami, którzy zabijając żubry unosili skóry i mięso na swoje terytoryum. Musiały to być dla żubrów bardzo ciężkie czasy, bo przy obliczeniu w r. 1821 znaleziono ich tylko w puszczy 370. Wskutek jednak troskliwej opieki rządu ilość ich w ciągu następnych lat ośmiu wzrosła do liczby 711 i odtąd utrzymywała się mniejwięcej około siedmiu setek. Z wytępieniem niedźwiedzi zyskały żubry jednego mniej nieprzyjaciela, a był on tu niegdyś liczny, i bardzo dla nich niebezpieczny. Lecz już przekazujący mi podania miejscowe Ejchler widział tylko na lamusie po swoim dziadzie stosy skór i łbów niedźwiedzich.

Obliczanie żubrów odbywa się corocznie, a choć pozornie wydawać się ono może trudną rzeczą, w gruncie jest bardzo łatwem do uskutecznienia. Stada w porze zimowej, trzymają się stale pewnych obrębów, w pobliżu zdrojów i rzek, przy których stoją zwykle dla nich stogi siana. Każdy strażnik wie niemal dokładnie o liczbie sztuk w swoim obrębie. Na początku zimy, po pierwszym śniegu, o jednej godzinie z rana, strzelcy całej puszczy obowiązani są obejść wszystkie ostępy i uroczyska, w których znajdują się żubry. Każdy z nich ma dwa kije do karbowania, jeden dłuższy, drugi krótszy. Na jednym znaczą się żubry, które wyszły z ostępu, a na drugim, które pozostają lub przybyły, co po liczbie tropów poznaje się. Tym sposobem dopełnia się wzajemna kontrola obrachunku, bo każdy żubr zaliczony przez jednego strzelca jako zbieg, musi być u sąsiada zanotowany jako przybysz. Około południa obrachunek w całej puszczy bywa już dopełniony, a pomyłka najwyżej o kilka sztuk nastąpić może.

W ostatnich czasach zauważano ubytek żubrów wprawdzie nieznaczny, ale niestety stały. Rozmaite są tego przyczyny. Naprzód wiedzieć trzeba, że żubr należy do zwierząt małomnożnych. Zubrzyca nie cieli się corocznie, ale co dwa lata, a niekiedy co trzy, i cielęciu swemu po-

zwala ssać bardzo długo, bo nieraz widzieć można, jak żubr dorastający wielkości naturalnej, przyklęknąwszy ssie swoją matkę. Żubr przestał być już wyłącznym prawie panem puszczy. Wśród niej bowiem znajduje się kilkanaście wiosek, których ludność wzrasta, a z nią liczba koni i bydła, stanowiącego źródło wysokiej zamożności miejscowego ludu. Konie w ogólności są dobre i jak dziś do kilkuset rubli nieraz płacone. Ogólna liczba dobytku, chowanego przez strzelców, strażników, leśniczych i włościan w obrębie puszczy, przenosi dziś najmniej o dziesięć razy ilość żubrów. Pastewniki te wiejskie, obejmujące znaczną część puszczy, ogrodzone są płotami z polecenia władzy. Ale tym sposobem i żubr ma swoje granice, bo za płot przekroczyć nie może. Ubył wprawdzie groźny nieprzyjaciel żubra, niedźwiedź, który już tylko rzadkim gościem z Pińszczyzny przybywa do puszczy Białowiezkiej, lecz nie zostały wytępione wilki, duszące corocznie pewną ilość, a i włościanie chciwi na mięso i skórę, dopuszczają się nadużyć, które dla znacznej kary głęboką tajemnicą pokrywać umieją. Dla mieszkańców puszczy łatwe to zadanie, gdy i strzału w czasie wichru w lesie nie słychać. Jednym ze szkodliwych wpływów jest także trzebież leśna. Już dziś w stanie dziewiczym znajduje się tylko trzecia lub czwarta część puszczy, reszta, a zwłaszcza okolice, gdzie bór sosnowy przeważa i łatwiejsza do rzeki wywózka, od lat trzydziestu dostarcza do Gdańska najsłynniejszego budulcu. Tak np. od uroczyska Gwoźna, przy drodze do Popielowego i rzeki Narwi, las bardzo smutnie się przedstawia i żubry rzadko tam bywają. W ogóle kto zna lasy w Prusiech, ten w puszczy Białowiezkiej nie zbuduje się. Często widzieć tu można drzewa podpalane, zapewne przez pastuchów wiejskich, a nawet w czasie mojej obecności wypaliło się kilka morgów pięknego boru przy drodze w Białowieży do Budni. Było to właśnie w ostatnich dniach maja, tak samo jak w r. 1811, kiedy wybuchły przez nieostrożność pożar niszczył niektóre części puszczy przez trzy miesiące, i nie mógł być przytłumiony dzielną pomocą i poświęceniem ludzi, dopiero deszcz ulewny 1. Października zagasił go zupełnie.

W r. 1860 odbyło się tu wielkie polowanie w zwierzyńcu miejscowym na żubry. Aby zwierzęta te, których przeznaczono do ubicia kilkadziesiąt, ranione nie męczyły się, używano kul rozrywających. W r. 1879 przybył do Białowieży jakiś anglik z pozwoleniem zabicia jednej sztuki dla swojej satysfakcyi, lecz spotkawszy dwa samce toczące z sobą zawziętą walkę, dwoma strzałami powalił oba. Nie musiał to być prawdziwy myśliwiec, bo czyż można mieć przyjemność i czy ją człowiek mieć powinien w strzelaniu na bliską metę do zwierzęcia, które nie jest ani groźnem, ani szkodliwem, ani dostarcza pożytków, a wielkością swoją, zwłaszcza gdy nie ucieka, przedstawia cel, do którego trafienie nie jest wcale zasługą. Widocznie panu temu chodziło o dziecinną igraszkę lub popisywanie się faktem.

Na pamiątkę polowania odbytego w r. 1860 znajduje się o dziesięć wiorst od Białowieży, przy trakcie bialskim a przed bramą wiodącą do zwierzyńca, pomnik okazały. Jest to spiżowy żubr naturalnej wielkości, stojący na wyniosłym postumencie, okrytym odpowiednimi napisami. W dworcu zaś cesarskim w samej Białowieży oglądaliśmy wydany przez akademię nauk w Petersburgu opis tego polowania z pięknemi fotografiami. Jest tam i jakaś scena z naszej przeszłości, w której polacy w kontuszach uciekają przed rozjątrzonym żubrem.

Zwierzyniec białowiezki jest to wśród puszczy ogrodzona przestrzeń lasu, około pół mili długa i szeroka, podzielona wewnątrz na trzy części, z których największe dla żubrów, najmniejsze dla dzików, a średnia, najbardziej bagnista, dla jeleni jest przeznaczona. Żubrów, dzików i jeleni znajduje się tu mniej więcej po sztuk dwadzieścia. Jeleni było więcej, ale wyniszczyły ich rysie, które są tem dla Białowieży, czem pantera w Indiach, tylko że w puszczy łatwiej i dawno powinny być już zatracone. Ryś nie rzuca się wprawdzie na żubra, łosia i dzika, ale drapieżnie napada na jelenia i sarnę, których jak mi tu mówiono, nie chwyta za gardło na wzór wilka, ale przyczepiwszy się do boku nieszczęśliwej ofiary, wyrywa z niej wnętrzności.

Obejrzawszy przy domu dozorcy klatkę z orłem w puszczy schwytanym i jelenia dziwnie rozpieszczonego, który wychowawszy się wśród ludzi, przekłada ich towarzystwo nad leśne moczary, udaliśmy się w głąb zwierzyńca na odszukanie żubrów. Jakoż uszedłszy w kierunku wskazanym około ćwierć mili, ujrzeliśmy stado tych zwierząt, pasących się na grząskiej przegalinie. Było ich sztuk czternaście, kilka poważnych samców odznaczało się wielkością, obok matek chodziły jałowiaki, zdaje się dwuletnie. Zaledwie zdołaliśmy podejść na odległość stu kroków, gdy ostrożne żubry spostrzegłszy obecność naszą, wziąwszy młodzież między siebie, płochliwie w gęstwinę uciekać poczęły. Zwierz w klatce nie robi nigdy tego wrażenia, co w stanie dzikości. W menażeryi jest on męczennikiem spekulacyi pieniężnej, w dziewiczej puszczy tworzy dopiero obraz natury, tej natury czasów pierwotnych, ciekawej dla nas, bo zaginionej. Chwila, w której zobaczyłem stado żubrów, pasących się wśród odwiecznych łomów, a później uciekających w popłochu w głąb tajemniczej gęstwiny, przeniosła mnie w czasy dawne, kiedy kraina nasza cała była puszczą Białowiezką, a każdy człowiek łowcem zdobyczą żyjącym. W oczach stanęły mi cudne obrazy „Starej baśni“, której autor jest naszym najdzielniejszym malarzem zaginionej dzikiej przyrody. Z uprzejmym przewodnikiem, który mi w zwierzyńcu towarzyszył, popędziłem cwałem w stronę, gdzie znikły nam żubry. Około tysiąc kroków brnęliśmy po moczarach, przedzierali się przez gęstwinę, przeskakiwali barykady łomów lub po śliskich obalonych kłodach przechodzili jak po moście grząskie, czarne bagno leśne, ale żubrów darmo śledziliśmy już okiem. Żubry lubią życie towarzyskie, a im w większem stadzie, tem są bojaźliwsze. Przeciwnie matka z cielęciem zastąpiona w drodze, bywa niebezpieczną, bo ze szlachetną odwagą rzuca się rogami na człowieka lub zwierzę, które widzi przed sobą. Tak samo stare buhaje, które zwykle chodzą pojedynkiem, nie zawsze ustępują z drogi ludziom pieszym i jadącym. Postać zwierzęcia jest wtedy dziwnie poważna, majestatyczna i groźna, ale spokojna zarazem. Czuje się ono jakby panem puszczy i ufa swojej olbrzymiej sile, wyzywa do walki i oczekuje na stanowisku, ale jej nie rozpoczyna. Biada jeżeli zuchwały wół lub stadnik rasy domowej wyzwanie to przyjmie, wtedy żubr, który nie ma zwyczaju uderzania łbem ani napierania, ale podnoszenia na rogach, przerzuca najczęściej przeciwnika przez siebie. Za ludźmi, którzy zejdą lub zjadą mu z drogi i ominą, zaledwie się raczy obejrzeć. Zwierzę to nigdy nie ryczy, tylko szukając stada wydaje ponury mruk, który o kilkaset kroków dobrze słychać. Gonione przez psa nastawia rogów tak samo, jak bydle domowe.

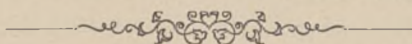
Z Białowieży udaliśmy się do puszczy Świsłockiej, od północowschodu na prawym brzegu Narwi ciągnącej się. Bory w pobliżu Narwi są bardzo przetrzebione. Rzekę przejeżdża się niedaleko wsi Rudni, o półtorej mili od jej źródeł. Narew mała i mętna nie ma tu wcale tej sinoprzeźroczystej wody, którą w granicach Podlasia i Mazowsza odróżnia się od wszystkich większych rzek naszego kraju. Przy zakręcie drogi, za mostem, umieszczony jest kamień z napisem oznajmiającym, że las, który się tu zaczyna, ma przestrzeni 21.808 dziesięcin, czyli 43.616 morgów nowopolskich, t. j. 1440 włók, a około pięciu mil kwadratowych. Puszcza Świsłocka, od r. 1831 przyłączona do Białowieży, a bogatsza od pierwszej w zwierzynę, zwłaszcza w łosia i sarny, przetrzebiona dziś srodze, należała dawniej do Tyszkiewiczów, którzy w pobliskiej Świsłoczy słynne r. 1806 gimnazyum założyli i pod kierunek wszechnicy Wileńskiej je oddali, przeniesione ztąd w r. 1845 na Żmujdź do Szawel.

W lasach świsłockich przebywa siedmdziesiąt kilka żubrów, które z białowieskimi nie odwidzają się podobno nigdy. Udaliśmy się do osady leśnej, zwanej Zarszczyzną, gdzie mieszka strzelec, tudzież „stróż żubrowy“, znany pod nazwiskiem Michasia Bołbota. Osady takich strzelców i stróżów podobniejsze są do kolonii i folwarczków, niż zagród wiejskich. Każdy prawie ma kilkadziesiąt morgów pola wśród lasu, stado pięknego bydła, budowle obszerne i schludne. Ludzie ci pochodzenia miejscowego, lub w dawnych czasach z Podlasia i Mazowsza przybyli, wyznają po większej części wiarę katolicką, uprzejmej powierzchowności, dobrego wzrostu i silnego zdrowia, są w ogóle poczciwi, trzeźwi, gościnni i usłużni, tudzież nieinteresowni może dla tego, że jeszcze nie zepsuci przez gości, których mała ilość zwidza puszczę. W domu każdego można znaleść samowar, cukier, świecę stearynową i czystą pościel. Kobiety pracowite i gospodarne nie różnią się ubiorem od okolicznego ludu, mężczyźni zawsze ubrani skromnie, w kurty lub marynarki z siwego samodziału i czapkę z zielonym lampasem. Posady swoje zajmują zwykle sukcesyjnie.

Udawszy się w głąb pięknego, liściastego lasu, nie uszliśmy więcej jak tysiąc kroków, gdy przewodnicy ukazali nam legowisko dwóch żubrów. Czarna, pulchna ziemia, w cieniu odwiecznych lip i dębów, była racicami rozgrzebana dla zrobienia pewnej wklęsłości, w której odciśnięte były ciężary zwierząt, przed chwilą tu spoczywających. Milczkiem i chyłkiem pobiegliśmy za świeżym tropem. Strzelcy tutejsi, trop ten w pierwszej chwili, po przejściu żubrów, umieją sami zwęszyć z powodu silnego odoru zwierzęcia, tym jednak razem był on nadto widoczny na grząskim czarnoziemiu. Tak podmykając się cichaczem, co nie było rzeczą łatwą dla znacznej ilości łamiących się pod nogami suchych gałęzi, ujrzeliśmy nareszcie o kilkadziesiąt kroków dwa samce, które nie odczuwając naszej obecności pasły się swobodnie, oganiając chmury dokuczliwych komarów ogonem, który u żubra długi i gładki kitą jest zakończony. Jeden z żubrów był stary, bo ogromny, drugi średni. Nie mogąc bliżej podejść, żeby nie spłoszyć, a pragnąc przypatrzyć się dokładnie, co w gęstwinie nie jest rzeczą łatwą, wysłaliśmy jednego przewodnika, aby zaszedłszy ze strony przeciwnej nagonił żubry na nas, sami tymczasem stanęliśmy za drzewami. Po chwili, gdy strzelec to uczynił, dał się słyszeć nagły trzask gałęzi i tentent galopujących zwierząt, które rzuciły się w bok, przesadzając potężne łomy i bagniste parowy. Trzęsły się im w biegu grzywy i brody, a cały ten widok był dziwnie wspaniały i piękny. Czemuż malarze nasi nie zajrzą nigdy w te strony, aby podobne sceny i osobliwości natury odzwierciedlić. A byłyby rozmaite epizody. Oto np. stróż żubrowy ów Michaś Bołbot, spotkawszy się z groźnym pojedynkiem oko w oko, cudem prawie uniknął śmierci lub ciężkiego kalectwa, chowając się zręcznie dokoła drzewa, to rzuciwszy na rogi rozjuszonej bestyi torbę myśliwską, a gdy i to nie pomogło, upadł na ziemię. Żubr usiłując wziąć go na rogi, podarł na nim kurtę, ale podsadzić rogów tak nisko nie mógł i temu Bołbot zawdzięcza swoje ocalenie. Żubr gdy widzi przeciwnika nie poruszającego się, mityguje swój gniew i opuszcza go wkrótce.

Aby najlepiej przypatrzyć się żubrom, należy udać się do puszczy w zimie, kiedy całe stada krążą przy szopach i stogach zbieranego dla nich siana. Pojedynki zwłaszcza stare trzymają się latem i zimą pewnych miejscowości, gdzie ich łatwo zejść i z bliska przypatrzyć się im można. Zdarza się, że gdy włościanie zebrani w gromadę odpędzają takiego żubra od swoich stogów, król Białowieży zniecierpliwiony uderza na nich i zmusza krzykliwą gromadę do ucieczki, poczem znowu powraca poważnie do stogu. Niestety nie zawsze ze strony włościan kończy się na krzyku.

Urządzenie puszczy Białowiezkiej i zabezpieczenie żubrów od zupełnej zagłady w przyszłości, wiele pozostawia do życzenia. Podług nas puszcza cała ogrodzoną być powinna na zewnątrz, na co wystarczy tylko część łomów wewnątrz niej próchniejących. Dalej wioski położone wśród lasów przeniesione być powinny za ich obręb. Jeden i drugi środek, pociągając za sobą pewne koszta, przyniósłby także znaczne korzyści, bo naprzód pozwoliłby zmniejszyć dzisiejszą służbę leśną do trzeciej lub czwartej części. Projekta te dla nieznających miejscowego położenia rzeczy mogą się wydać zbyt śmiałe. Trzeba jednak wiedzieć, że żadna straż nie jest w stanie dopilnować włościan pośród puszczy mieszkających, aby potajemnej szkody w zwierzynie i żubrach nie czynili, młodych żubrów, łosi i sarn nie chwytali, gniazd głuszców, cietrzewi i jarząbków nie wybierali. Ze wzrostem ludności w wioskach leśnych, ubywa wszelkiej zwierzyny w ostępach, ztąd już dziś puszcza przestała słynąć obfitością zwierzyny, która przecież stały i znaczny dochód z tak wielkiej przestrzeni przynosić powinna, a nie przynosi. Jeżeli tak zostanie jak dziś, to przyszłość smutny przedstawia widok. Niech choć jedna w Europie puszcza zostanie puszczą na wieki, a tak piękna i tak osobliwe posiadająca zwierzęta ściągać może licznych z zachodu turystów i dla krajowców być celem najmilszych wycieczek, a nawet dla mieszkańców miast miejscem ożywczego wśród lata pobytu.



Ruchoma przepławka rybna.

NAPISAŁ

Dr. M. Nowicki.

Na potokach i rzekach stawiają jazy rozmaitego rodzaju, bądź celem odprowadzania wody potrzebnej na tracze, folusze, młyny, kuźnice, fabryki, bądź też celem gromadzenia wody do spławiania drzewa.

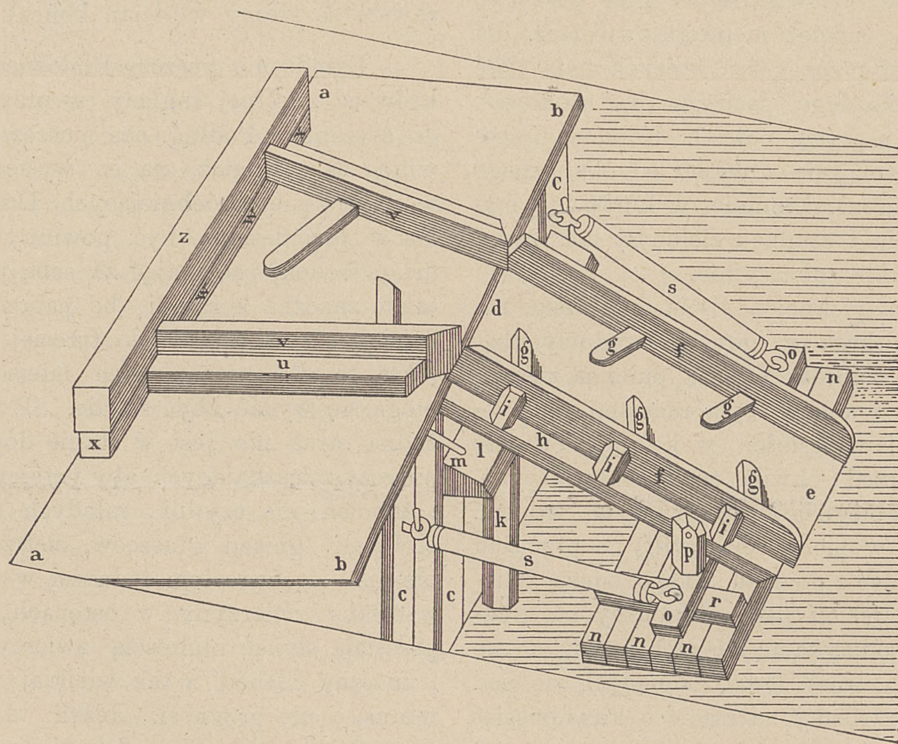
Jazy te tamują przy małej wodzie ciąg łososia i innych ryb w górę do tarlisk, skutkiem czego rybia ubożeje, niektóre gatunki nawet nikną, a dochód z rybołowstwa coraz bardziej maleje. Tym sposobem posiadacze jazów krzywdzą trzecie osoby i szkodzą rybactwu, niemniej jak proletaryat rybacki, który tylko niszczy ryby, zamiast gospodarnie rybować.

Rybacy zachowują się w tym względzie biernie i nie starają się o to, aby władze, zezwalając na stawianie jazów, na spławianie drzewa i t. p., uwzględniały przytem także słuszne interesa rybactwa. Inspektorów rybackich, którzyby nad tem czuwali, nie ma, a głosy Towarzystw rybackich, pozostają przeważnie głosem wołającego na puszczy.

Tak wyrobił się stan rzeczy dla rybactwa rzecznego zabójczy, i jest u nas dotąd na szkodę kraju cierpiany, choć nic łatwiejszego jak mu zaradzić.

A mianowicie można na jazach urządzać na wzór kładek rzecznych *przepławki rybne* [1]), które nie naruszając niczyich praw do używania wody na cele przemysłu, umożebniają ciągnącym rybom przedostawać się do wód i tarlisk powyżej jazów i tam składać ikrę dla rozpładzania swego rodu, bez czego ubytek w rybach jest koniecznem następstwem.

Jakoż w krajach dbałych o swe dobro w każdym kierunku gospodarstwa, zaopatrują jazy rozmaitego rodzaju przepławkami z drzewa lub kamienia [2]), tylko że je urządzają wielkim kosztem i jak dotąd wszędzie stałe i nieruchome, lubo praktyka okazała, że je powódź lub kra częstokroć psuje albo nawet zrywa, a zatem pieniądz na nie łożony marnuje się. Lepiej wobec tego była pomyślaną przepławka użyta na jazie Popradu we wsi Kurczyn na Węgrzech. Jest to bowiem przenośna przepławka drewniana, którą na jesień ruchomo przystawiają do jazu, a na zimę odejmują, aby jej kra nie zabrała. Nadto jest tanią, zaleca się więc do zastosowania na mnogich jazach zagradzających rybom drogę do ich tarlisk. Podany opis i obraz tej przepławki poucza interesowanych o jej konstrukcyi i użyciu.



Jaz *a b c* w Kurczynie, zbudowany jest z drzewa i zajmuje całą szerokość Popradu, na jakie 120 m. Jego przednia ściana *c* wznosi się pionowo przy małej wodzie na 3 m. wysokości, łosoś więc nie może się przez nię przerzucić i dlatego potrzebuje koniecznie łotoku *de*, aby się przemknął; gdy woda wzbierze i tę wysokość zmniejszy, wtedy łosoś może się po za jaz przedostać. Szeroki grzbiet *a b* jazu jest połogi, równy, na sposób podłogi tarcicami wyłożony, jego grzebień *a* w całej długości poziomy bez wzniesienia (korony). Nim spada woda dla kuźnic kurczyńskich zbyteczna, ale szeroko rozlana, dla tego też przy niskim stanie rzeki spływa tak płytką warstwą, że łosoś nie mógłby nią przepłynąć, choćby nawet wytężonym skokiem dostał się na brzeg *b* jazu; z tej przyczyny więc trzeba prócz łotoku *de* jeszcze na grzbiecie jazu osobnego urządzenia *u v*, które ściskającą wodę zbiera i pogłębia, aby

[1]) Krakowska Reforma użyła nazwy „przecierz“, cieśle w Kurczynie mówią „koryto“, a Czesi „pruplavy“. („Rybażskié Listy“ 1884, nr. 1, str. 2).

[2]) Bericht des Ingenieurs Brüssow zu Schwerin, betreffend eine Reise nach England Zwecks Besichtigung von Fischwegen (Circular des deutschen Fischerei-Vereines 1882, nr. 1, p. 8), z 14 tablicami.

łososie mogły nią przepływać. Przed jazem są jak wszędzie, głębiny mniejsze i większe, najgłębsze w miększych miejscach koryta rzeki i pod spadem najsilniejszego prądu, gdzie też wędrujące łososie zwykły się gromadzić i czasowo przebywać. Nad taką właśnie tonią, jak być powinno, umieszczona jest w Kurczynie cała przepławka.

Łotok *de*, sporządzony z grubych (5 1/2 cm.) forsztów, ma równoległe ściany *f* i proste dno *de*, jest 5,6 m. długi, 1,9 m. szeroki i 0,3 m. głęboki. Jego wnętrzne przewory *g* są wężykiem osadzone w odstępach przestronnych, aby między niemi i większy łosoś mógł się wygodnie obracać i w ogóle poruszać; wysokość ich odpowiada potrzebnej dla łososia głębokości wody, a spadek jest ten sam co dna łotoku. Przewory te osłabiają bystrość wijącego się prądu i dzielą niejako łotok na szereg basenów po nad sobą leżących, z ciszynami wody przy ścianach, gdzie przemykająca się ryba także wypocząć może. Łotok spoczywa na ramie *h* z belek zrobionej, objęty klinami *i* wbitemi w wystające boki ramy, aby się łotok nie przesuwał. Górny koniec łotoku wspiera się na kozłach *k l*, a dolny na tratwie *n*. obydwa ruchomo. Pochylenie łotoku zmienia się według stanu wody o co jednak mniej chodzi, niż o to, aby łotok był umieszczony nad tonią z łososiami.

Kozły *k l* tuż przed ścianą *c* jazu stojące i od tegoż niższe, są to dwa pale *k* w bite babą w dno rzeki, i kobylica *t* nasadzona na wierzchołkach pali i przymocowana do jazu dwoma grubemi (3 cm. w kwadrat) klamrami *m* z muterkami u spodu kobylicy. Na kobylicę *l* kładzie się wolno górny koniec *d* łotoku z ramą, tak, że dno *d* łotoku i brzeg *b* jazu przywierają do siebie w równej wysokości, zaś ściany *f* łotoku wystają i tak woda między nie wciekać może. Ześliźgnięciu się łotoku z kobylicy zapobiegają dwa żelazne swornie, z wierzchu kobylicy wystające i na końcach ku przodowi zakrzywione, które wchodzą w przestronne wycięcia ramy *h* i dna *d* łotoku, a tak tworząc niejako zawiasę, dozwalają końcowi *d* łotoku podnosić się i opadać. Szparę między łotokiem *d* a jazem *b* można nakryć deszczułką na brzegu jazu przybitą, jeżeliby o to chodziło, aby nią woda nie przeciekała.

Tratwa *n* 5.6 m. długa, a 2.5 m. szeroka, pływa na źwierciadle wody, trzymana dwoma żerdziami *s*, które są opatrzone na końcach żelaznemi kółkami i przedniemi zawieszone na hakach do pali *c* jazu wbitych. Zbita jest z kilku suchych, 21 do 24 cm. grubych krąglaków podłużnych *n* i dwu poprzecznych *r*. Na tych poprzecznych leży jeszcze wdłuż pośrodkowej linii tratwy belka *o*, na której opiera się dolny koniec *e* łotoku. Środek ciężkości łotoku pada w kierunku środka ciężkości tratwy, skutkiem czego tratwa nie przechyla się w żadną stronę, a tem mniej może się przewrócić. Dwa kliny *p* wpuszczone w belkę *o* przed jej końcami, obejmują ramę *h* łotoku, a gwoździe wbite przez kliny do ramy, trzymają w kupie tratwę z łotokiem, służąc zarazem za osie w poruszeniach tratwy. Stopa, czyli ujście *e* łotoku wystaje za przedni brzeg tratwy i sięga plesa wody, lub też zanurza się trochę pod nie, jeżeli przybędzie wody w łotoku i ta swą ciężkością tratwę bardziej zatopi. Przy zmianach stanu wody tratwa wraz z końcem *e* łotoku wznosi się lub opada, a do tych ruchów zastosowuje się także wierzchołek *d* łotoku. Podczas małej wody tratwa i łotok stoją spokojnie, gdy zaś woda wzbierze i spadając bałwani się u spodu jazu, natedy tratwa kołysze się, a z nią i łotok. Ściana z belek szpuntowanych od strony lądu dla zabezpieczenia przepławki jest w Kurczynie zbyteczną.

Przepławka *n v* na grzbiecie *a b* jazu, należy do rodzaju przepławek przekątnych, jakie na jazach niższych z grzbietem również wydylowanym same dla siebie (bez łotoku) starczą, aby woda płytko przelewająca się tamowała się i pogłębiała, a przez to łosoś miał ułatwiony przepływ w górę do koryta rzeki. Są to 2 belki *u* do grzbietowej podłogi *a b* jazu przymocowane i od strony wewnętrznej dwoma ścianami *v* na 5 cm. grubemi a 30 cm. wysokiemi opatrzone, które dołem zbiegają się ku sobie tak, że końce tych ścian *v* spotykają się z końcami równie wysokich ścian *f* łotoku, a jedne i drugie mając boczną krawędź ściętą, mogą na siebie zachodzić, zwierać się i odwrotnie. Górą zaś te belki szeroko (3.8 m.) się rozbiegają, aby przy niskim stanie rzeki więcej wody zbierały i tym sposobem wzmocniony prąd przepławkę zasilał i nią przepływał. Przewory *g* spełniają to samo zadanie co w łotoku. Na niektórych jazach dość jednej belki przekątnej lub takiego forsztu, aby otworzyły skuteczną przepławkę.

Przepust *x z* na grzebieniu *a* jazu, przedstawia właściwie szluzę ciągle otwartą. Tworzą go dwa skrzydła *x* z forsztów 1.8 m. długich, z każdego boku wierzchołka przepławki *u v* ku zewnątrz osadzone, a na grzbiecie belką *z* spojone. Między tą górną belką *z* przepustu, a dolnym grzebieniem jazu pozostaje otwór *w* do wcieku wody przeznaczony, ale tylko 16 cm. wysoki, aby inaczej podczas wezbrania rzeki nie zawiele wody dostawało się do przepławki. W Kurczynie więc przepust reguluje tylko dopływ wody do przepławki, a nie służy zarazem do odpierania lodu, gdyż tam odejmują łotok na zimę.

Przez lato Poprad często wzbiera, a wtedy łosoś może pokonać zawadę jaką w jazie napotyka. Jesienią zaś panuje na tej rzece zwykle mały stan wody, więc też ustawiają przepławkę i utrzymują czynną przez miesiące Wrzesień, Październik i Listopad, aby ciężarne łososie mogły się dostać do tarlisk; woda się w tym czasie przelewa ciągle przepławką, gdyż jest jej w Kurczynie więcej, niż potrzeba do tamtejszych kuźnic. Gdzie wody niedostatek, tam przepławka przynajmniej może być w ruch puszczoną, gdy robota w fabryce zastanowiona.

Powódź bynajmniej nie szkodzi ruchomej przepławce. Kra tylko na wiosnę, gdy Poprad puszcza, oderwałaby ją i uniosła, dla tego odejmują ją przed nastaniem zimy i zamarznięciem rzeki i przechowują potem do Sierpnia następnego roku w bezpiecznem miejscu, stawiając tratwę pochyło, aby znowu wyschła. Kozły *k l* przed jazem stoją, gdyż lody im nie grożą.

Robota przepławki wraz z drzewem i żelazem kosztowała w Kurczynie tylko 37 złr., a na jej każdorazowe odjęcie i przystawienie wydają również tylko 7 do 8 złr.

Łososie korzystają z tej przepławki, bo widziano, jak się nią przebierały. Nim ją tam wprowadzono, spostrzegano jesienią w głębinach przed jazem liczne łososie, jak się nadaremnie wysilały, aby jaz przeskoczyć, aż je rybacy wyłowili; teraz zaś już rzadko kiedy można zobaczyć jesienią łososia, gdyż przemykają się w górę ku źródłowiskom, co dowodzi, że przepławka skutkuje, a zatem odpowiada swojemu celowi.

Swą taniością i skutecznością ta przepławka ruchomo urządzona (pomysł ten, to jaje Kolumba!) sama się zaleca

*

do zaprowadzania wszędzie tam, gdzie z powodu jazów trzeba rybom utorować drogę do ich tarlisk, a pieniędzy na droższe przepławki nie staje. Gdzie warunki są inne, jak na Popradzie w Kurczynie, tam można ją do nich zastosować przez poczynienie odpowiednich zmian w jej całości lub poszczególnych częściach. Przedstawiona na przeszłorocznym wiecu rybackim w Dreźnie [1]), zajęła wszystkich członków tegoż, a przesłany Towarzystwu rybackiemu w Berlinie model, zyskał także całe uznanie inżyniera p. Brüssowa, jednego z pierwszych znawców przepławek. Także interesowani w Szwajcaryi są z niej również zupełnie zadowoleni. Zdaje się zatem, że ma przed sobą przyszłość i zastąpi inne kosztowne a mniej praktyczne przepławki.

Minister rolnictwa w Berlinie Dr. Lucius podziękował za udzielony mu model i oznajmił, że go przekazał tamtejszej Akademii rolniczej, oraz, że zarządził próby z tą ruchomą przepławką na jazach znajdujących się na rzekach Muldzie, Saali i Edderze.

Więc w Niemczech rząd zaraz z niej skorzystał i stara się o stawianie przepławek, celem rozmnożenia łososia i podniesienia jego połowu. Dałby Bóg, aby także w Austryi i u nas z niej korzystano.

[1]) Circular des deutschen Fischerei-Vereines 1883 Nr. 5. str. 152.

KORESPONDENCYE.

Będąc w Pruszkowie za czasów istnienia tamże niedawno zniesionej akademii rolniczej, miałem po raz pierwszy sposobność podziwiać obfitość zwierzyny na Szląsku jak również zapoznać się z systemem tamtejszych polowań. Systematyczność, z jaką oddają się tam tej przyjemnej rozrywce, jest nader ciekawą już z tego względu, że przyczynia się ona w znacznej części do tej obfitości zwierzyny, którą Szląsk poszczycić się może. Polowanie na gruntach, należących do dominium, dzierżawił stale od rządu dyrektor akademii. Ponieważ zaś zadzierżawiał on także i polowanie od okolicznych włościan, przeto obszar naszego myśliwstwa był bardzo znacznym. Polowanie w lasach rządowych należało do nadleśniczego, który dzierżawił od rządu polowanie niższe (zające, ptactwo, lisy). Co się zaś tyczy polowania wyższego na grubą zwierzynę, jak sarny, jelenie, oraz dziki, to nadleśniczemu służyło prawo wystrzeliwania dzików wedle własnego uznania, podczas gdy ilość sarn i jeleni mających być zabitemi, oznaczało ministeryum na podstawie specyalnych raportów służby leśnej. Zadziwiającą jest skrupulatność tak raportów leśniczych o zwierzostanie, jakoteż i rozporządzeń ministeryalnych odnośnie do sztuk przeznaczonych na wystrzelanie. Nie tylko ilość sztuk każdego gatunku jest tam dokładnie oznaczoną, ale nawet powiedziane jest, ile kóz, łani, kozłów, rogaczy, szpiczaków i t. d. wystrzelaniu podledz może. Na podstawie też raportów służby leśnej, w Prusach corocznie ogłaszany jest termin zamknięcia polowania. Jest to nader słuszne, ponieważ w roku obecnym np. już w początku Lutego, a nawet w Styczniu, zające poszły na parkoty, podczas gdy w innych latach, gdy zima silna i długotrwała, dzieje się to znacznie później. Z tego powodu oznaczenie stałego terminu zamknięcia polowania nie odpowiada takiej potrzebie ochrony zwierzyny w czasie mnożenia się jej. W ministeryum też pruskiem oznacza się cena na sztuki przeznaczone do zabicia, stosunkowo dość umiarkowana. Wnosi ją nadleśniczy do Kasy rządowej, a następnie wystrzeliwa przeznaczone sztuki wedle własnego uznania w ciągu myśliwskiego sezonu.

W polu na koty polowaliśmy w kociołku. W przeddzień polowania dyrektor wywieszał na czarnej tablicy zaproszenia, a każdy z ochotników zapisywał się w kancelaryi. Nagonkę (huczków) obliczano dwóch na jednego myśliwego. Zebrani w punkcie zbornym myśliwi ciągnęli numera, poczem wszystkie numera parzyste stanowiły prawe, a nieparzyste lewe skrzydło kotła, zmieniając się zawsze w ten sposób, że kto raz prowadził skrzydło, wychodził ostatni w następnym zakładzie. Zwierzyny mieliśmy wiele i nastrzelać się można było do woli. Cóż kiedy niewprawni myśliwi psują zwykle przy tym systemie polowania całą uciechę. Strzelają oni na dalekie dystanse, pudłują lub kaleczą szaraki, podczas, gdy wytrawni myśliwi czekając właściwej chwili do strzału, rzadziej do niego przychodzą. Wystraszone koty, zamknięte w kotle, jakby rozumiały swe położenie, zwykle bowiem obiegłszy krąg cały, przyjmowane wszędzie salwą bezskutecznych strzałów, uderzają w końcu na oślep, próbując szczęścia właśnie w miejscach zajmowanych przez strzelców, którzy biorąc gorący udział w rotowym ogniu, nie mają naboju w lufie w chwili, gdy zwierz przebija się przez linię, prawie pod ich nogami. Zmykającemu szarakowi towarzyszy jedynie wrzask huczków, którzy napróżno usiłowali przeszkodzić mu w uniknieniu bezwarunkowej zagłady. Każdy myśliwy po skończonym zakładzie obowiązany jest podać wszystkie swe strzały, oraz ilość zabitej zwierzyny. Ileż nieporozumień i sporów, często bardzo ciekawych, wynika przy tym obrachunku myśliwskiego sumienia. Jakżeż bo trudno wynaleść zabójcę ofiary, na której życie godziło równocześnie kilkunastu myśliwych. Licząc nawet od pudeł, któż odgadnie który ze strzałów był śmiertelny, skoro zwierz częstokroć formalnie zginął przez rozstrzelanie. Wprawdzie istnieje zasada, że zająca przysądza się temu, kto go ostatnim kładzie strzałem, podczas gdy przy grubszej zwierzynie (zwłaszcza dzikach i jeleniach) pierwszy trafiony strzał jest decydującym, ale i ta zasada do niczego nie prowadzi przy rozstrzyganiu tak zawiłych kwestyi. Na każdą zabitą sztukę rachowano dwa strzały, za resztę strzałów należało płacić po półzłotku za każdy. Proszę mi wierzyć, że byli między nami tacy, którzy i po kilka talarów w ten sposób przestrzelać potrafili. Po skończonem polowaniu wybrany Sąd myśliwski ogłaszał, na podstawie strzałów i zabitej zwierzyny, króla polowania. Prócz tego opłaca się na polowaniach szląskich kary za wszelkie przekroazenia, dotyczące porządku polowania jakoteż zwyczajów myśliwskich. Po zamknięciu kotła postępują myśliwi ku środkowi wraz z nagonką, ścieśniając koło coraz więcej. Skoro linia kotła zmniejszy się do tego stopnia, że myśliwi znajdują się od siebie nie dalej jak na 165 kroków, wtedy na hasło trąbki naganka biegnie z krzykiem do środka, podczas gdy myśliwi zatrzymują się na miejscach Hasło tego manewru jest zarazem sygnałem zabraniającym strzelanie przed siebie t j. w kocioł. Myśliwy powinien wtedy przepuścić zwierzynę za linię obwodu i strzelać dopiero za sobą. Za strzał do kotła po sygnale opłaca się znaczną stosunkowo karę, narażając się na dotkliwe uwagi, a nawet na wyłączenie od uczestniczenia w polowaniu. Również wysoką jest kara za uchybienie w formie noszenia broni.

Z chwilą sygnału, głoszącego zakończenie polowania *respective* zakładu, każdy obowiązany jest strzelbę przewiesić przed sobą na szyi i w ten sposób na punkt zborny postępować może. Jakkolwiek nudną zdawać się może systematyczność w tym względzie, to przecież bezpieczeństwo udział biorących w polowaniu zyskuje na niej znakomicie. W większości wypadków na polowaniach u nas w kraju panuje taki chaos i taka dowolność, że doprawdy dziwić się nie należy licznym wypadkom, którym strzelcy i naganiacze podlegają. Widziałem w Szląsku płacących karę za uderzenie zwierzyny kolbą, a jeden z moich kolegów zapłacił za deptanie zająca nogami. Zauważyć wypada, że młodzież z Kongresówki trudniej poddawała się wszelkim przepisom, ograniczającym ukochaną dowolność, podczas gdy przybywający z W. X. Poznańskiego, Prus wschodnich i zachodnich, uważali to wszystko za rzecz naturalną i byli użyci z systematycznością, konieczną nawet przy zabawie. Często wynikały nawet przykre zajścia, i tak np. w pewnym zakładzie prawe skrzydło kotła składali przeważnie nasi myśliwi. Linia, którą postępowali a raczej zachodzili dla zamknięcia kotła, przechodziła pod lasem. Otóż w przewidywaniu, że zwierzyna w kotle zamknięta będzie miała wagę do lasu, poczęło się prawe skrzydło ociągać tak, że pomimo wszelkich usiłowań lewego skrzydła, zamknięcie kotła stało się niemożebnem, a ztąd i cały zakład chybionym.

Zwierzynę, której pomimo licznych pudeł ginęło bardzo wiele, zabierano na wozy drabiniaste w ten sposób, że zające zawieszano na kijach wspartych w poprzek na drabinach. Wprost z polowania odstawiono ją do kolei, by drogą żelazną mogła podążyć do miejsc zamówienia. Każdemu atoli myśliwemu przysługiwało prawo zatrzymania zwierzyny przez siebie zabitej za opłatą ceny naprzód oznaczonej, względnie dość umiarkowanej. Ciekawym, co powiedzieliby na to nasi amatorowie myśliwstwa po cudzych polach, zwłaszcza w tej epoce, gdy wołowina na wsi jest drogą i trudną do dostania? A przecież sam czytałem list, w którym sąsiad zaprasza się do sąsiada na polówkę, motywując swój postępek powyżej przytoczonym powodem. *W.*

Po zawarciu pokoju między Austryą a Sardynią w Villafranca 1859 r., począł rząd austryacki całkowicie wyprowadzać swe wojska z Lombardyi, odstąpionej Wiktorowi Emanuelowi, w części zaś z pozostałej pod jego berłem połowy prowincyi Weneckiej. Pułkom przeznaczono inne prowincye monarchii na garnizony, więc pułk mój opuścił Włochy w Sierpniu, mnie zaś odkomenderowano na jakiś czas na pisarza, czyli raczej tłumacza do utworzonego w Wicencyi domu rekonwalescentów, do którego ściągano wszystkich napółuzdrowionych chorych lub rannych w czasie boju. Pułk ruszył sobie szczęśliwie, pozostawiając mnie niby wygnańca na dworcu kolei żelaznej mało mi znanej Wicencyi. Po zameldowaniu się u władzy wojskowej, otrzymałem kartę, upoważniającą mnie do żądania kwatery w Comunie, t. j. w Magistracie. Błądzę po wszystkich ulicach, przemawiam do przechodniów po niemiecku, ale odbieram odpowiedź: *non capisco*. Pół dnia noszę się z moją kartą i nie mogę się dopytać magistratu. Widząc, że sobie z niemieczczyzną nie poradzę, przemawiam kuchenną łaciną, jakoż udało mi się, litościwa jakaś dusza poczęła mnie wodzić po różnych urzędach, aż zaszedłem wreszcie do Comuny, gdzie dano mi bilet kwaterunkowy Nr. 13, strada ss. Apostoli. Przy wręczeniu biletu uważałem, że urzędnicy biura kwaterunkowego powtarzali ze śmiechem imię Diana i szyderczo spoglądali na mnie. Znowu błądzę po ulicach, szukając numeru, wreszcie daję jakiemuś oberwańcowi 10 soldów, ukazując bilet. Zrozumiał mnie i powiódł na wymienioną ulicę. Dziwnej konstrukcyi są domy włoskie, wszystkie wielkich rozmiarów, ale rzadko wyższe nad dwa piętra. Zewnętrznie wyglądają jakby puste, szczelnie pozamykane okiennicami, zwłaszcza podczas skwarów letnich. Wewnątrz mnóstwo kurytarzów, zaułków, zakamarków, kryjówek, przesmyków, istny labirynt, a ciemno wszędzie, nawet w dzień. Szukam napróżno zarządcy domu, pukam do każdych drzwi, wreszcie przy jednych wita mnie szczekanie psa i słyszę głos: „Bella!“ a potem: „Qui este?“ Odpowiadam: „Soldato.“ — „Cosa volete?“ Mówię: „Quatira“. — „Diavolo!“ zaklęła siarczyście niewidoma postać i otwierając okiennicę, wpuściła dzienne światło. Po basowym głosie spodziewałem się ujrzeć mężczyznę, była to jednak kobieta i to niezwykła. Słuszna, barczysta, czarna na twarzy, z garbatym rzymskim nosem i wcale pokaźnym wąsem, a brzydka tak, jak tylko Włoszki bywają. Tam dwie tylko ostateczności: albo piękna jak anioł, lub szkaradna jak szatan. Na ścianie wisiały przyrządy łowieckie, z wyjątkiem broni, którą jako w czasie wojny rząd zabrał. Pies witający mnie nieprzyjaźnie, była to prześliczna wyżlica rasy kurlandzkiej, z długim kasztanowatym włosem. Mierzymy się nawzajem wzrokiem, wreszcie pyta mię ów herod-baba łamanym językiem niemieckim, czy tu mam mieć kwaterę. Wylegitymowałem się kartą, poczem zaprowadziła mnie do małej izdebki, gdzie się rozgościłem. Głodny wyszedłem wnet do pobliskiej garkuchni w celu posilenia się. Obrzydliwe są te włoskie jadalnie niższego rzędu. Izba duża, ciemna, dniem i nocą oświecona ogniskiem, płonącem na olbrzymim kominie, służącym za kuchnię, w środku komina po nad ogniskiem na łańcuchu wisi duży miedziany kocioł, około ścian poustawiane proste stoły i ławy, a całość przedstawia się jako prawdziwy przebytek zbójecki w bajkach ludowych. Dano mi jakiś bigos z różnych mięs, wnętrzności kurzych z dodatkiem łapek różnego drobiu, zaprawiony sporą dozą cynamonu, osłodzony cukrem, którego mimo wilczego apetytu jeść nie mogłem. Nasyciłem się więc tylko makaronem. W garkuchni było dosyć osób, rozpytuję więc o moją gospodynię. Jakiś starzec rąbiąc po niemiecku uwiadomił mnie, że zowią ją Dianą, i zapytał, czym silny. Zdziwiło mnie to zapytanie, lecz wnet domyśliłem się, że moja nadobna opiekunka lubi zwady i bójki. Upewnia mnie o tem stary, dodając, że robiła wyprawę wojenną z Giuseppem Garibaldim i przebrana po męsku dzielnie walczyła. Kilka dni ubiegło w spokoju, patrzaliśmy na siebie jak pies na kota, ale powoli oswoiliśmy się z sobą, od krótkich pozdrowień przyszło do pogadanek. Imię jej było Riccarda, a jako daleka krewna właściciela domu, jakiegoś conte, zarządzała domem. Dowiedziałem się od niej, że namiętnie lubi myśliwstwo, ale niestety podczas wojny nie wolno było polować. Conte prócz kilku domów w Wicencyi i dóbr ziemskich gdzieś w dalszej okolicy, posiadał po za miastem willę. Takich will było tam kilkanaście, należących do nobilów lub bogatych mieszczan, zbudowanych na stokach wzgórz, okalających miasto. Pewnego poranka oznajmia mi panna Riccarda, że w pobliżu willi conta pojawił się zając. „Trzeba go zabić“, mówię. „Ba! ale z czego — odpowiada zmartwiona Diana — broń myśliwską zabrali Tedeschi, ale gdybym mogła panu ufać?“ — „Proszę się nie obawiać“ — odrzekłem. Myślałem, że sam Garibaldi ukrywa się u niej. — „Ja panu ufam; nie wszystką broń oddałam do arsenału rządowego, schowałam doskonałą dubeltówkę.“ — „Niech więc signora mnie powierzy ów smaczny bo zakazany owoc, a wnet sprzątniemy tego rzadkiego w tych stronach gościa.“ Po chwili

przyniosła Diana piękną, lecz nieco zardzewiałą dubeltówkę, znalazła się też amunicya. Ja uzbroiwszy się w strzelbę, ruszyłem ku willi swobodnie jako wojskowy, a signora podążała z dala za mną. Willa położona była na stoku wzgórza, rzadko porośniętego sakłakiem, dziką różą lub laurem, krzakowato i karłowato rosnącym. Oddałem Dianie strzelbę, sam zaś podłożyłem Bellę, która szukała wybornie. Trzeba było widzieć rycerską Dianę, jak śmiało buszowała po zaroślach, oczy jej nabrały jakiegoś dzikiego wyrazu, szalenie brzydką była i straszną owa Diana. Po dość długiem szukaniu wymknął się istotnie zając, a signora dalekim ale celnym strzałem położyła go. Trymfująca nie posiadała się z radości, twierdząc, iż zając w tych stronach niepospolitą jest rzadkością. W ciągu dnia ubiliśmy jeszcze kilkanaście wróbli, szkodników w dojrzałych już winogronach. Odtąd łączył nas z sobą stosunek przyjaźni, nastąpiły obopólne zwierzenia, nie potrzebuję zapewniać, że nie miłośne, a muszę dodać, że signora była mimo swej potwornej brzydoty i żołnierskiej rubaszności osobą wykształconą i ostatecznie łagodności i zacności baranka. Podziwiano na całej ulicy mój dobry stosunek z Dianą, nieraz bowiem się zdarzało, że wojskowy kwaterujący u niej znalazł się nagle „mit Sack und Pack“ na ulicy. W miesiącu Listopadzie polowaliśmy z signorą na dzikie gołębie, ciągnące po nad temi wzgórzami ku południowym krajom na zimowisko. Diana o wiele lepiej strzelała jak ja, rzadko chybiając w locie zwierzynę. W Styczniu skończyła się moja czynność, z odejściem ostatniego transportu opuściłem stanowisko pisarza tłumacza i Wicencę. Z signorą rozstałem się nawet z żalem. Mieszkańcy ulicy św. Apostołów wydziwić się nie mogli kordialności mego stosunku z signorą, dla wszystkich dziką i nieprzystępną, którą z powodu popędu do łowiectwa i rycerstwa powszechnie zwano Dianą.

A.

KRONIKA.

Lwów 12. Września

Konserwatyzm i zmysł krytyczny na polu pomysłów w armaturze myśliwskiej, powoduje mnie do niniejszej oceny ładunków czyli łusek nabojowych pomysłu rusznikarza Lignickiego p. A. Bartscha, o których obszerne ogłoszenie niemieckie umieścił w ostatnim numerze „Łowca“. Ładunki te, jak wszystko na świecie, mają strony ujemne, a mianowicie są drogie i ciężkie, a co najgorsze, nie wiele warte. Maszynerya zapałowa polega głównie na wieńcu drobnych dziureczek, umieszczonych na szczycie rurki blaszanej, wystającej w dnie nabojowem dla korzystnego rzekomo zapalenia prochu z przodu, a nie jak przy zwykłych nabojach z tyłu. Jak drobna i nic nie znacząca korzyść wynika z takiego odprzodowego zapału prochu, dowodzi zaniechanie tego zapału pierwotnego przy nabojach Drejsego i Teschnera, a szczególnie przy ładunkach broni wojskowej we wszystkich państwach europejskich. Jak szczegółowo badano w armiach wszelkie takie choćby najdrobniejsze korzyści na polu balistyki, wiedzą czytelnicy Łowca z przytoczonych przezemnie prób systemów i ładunków wojskowych, przedsiębranych w rozmaitych armiach. Z tym odprzodowym zapałem tak się rzecz ma, jak ze znaną fachowym *Luftkammer*, pozostawioną w pierwotnych karabinach pruskich poza dnem nabojowem. Do jej funkcyi kompresyjnej przykładano pierwotnie ogromną wiarę, a jednak rychło ją zarzucono. Tak też się stanie z nabojami p. A. Bartscha. Subtelne dziureczki w rurce mosiężnej zaśniedzieją i zatkają się po pierwszym strzale, powiększenie zaś tych dziurek niemożliwe, bo ziarnka prochu, któreby się przecisnęły przez to sitko, zalterowałyby całą sztuczną i kosztowną maszynerye, gdyż sztyft, przepuszczony przez dziurkowaną rureczkę, toczony jest ze stali. Nabój kosztuje 7 centów, a pożytek z niego taki, jak z każdego innego, co do lekkości zaś jest pojedyńczy blaszany Kynoch-Roth lub Lorenz nierównie lepszy, nabój bowiem papierowy p. A. Bartscha, futrowany blachą na wzór dawnego Eleja, w dodatku obciężony skomplikowaną maszyneryą zapałową, jest anachronizmem, wobec którego prosty pomysł explodujących wraz z prochem łusek nabojowych jest jajem Kolumba. A kiedy już mowa o nowościach, to godna baczniejszej uwagi angielska kamizelka myśliwska, używana przez Leopolda hr. Starzeńskiego na polowaniach błotnych, której model złożony u Sekretarza Tow. łow. Niemniej godna uwagi doświadczona nieprzemakalność obuwia ze skóry dzika, zwłaszcza ciżmów opiętych, używanych na błotach.

L. Weeber.

Już nieraz spotkaliśmy się w Łowcu z opowiadaniem niezwykłych spostrzeżeń z życia zwierząt, a mianowicie o ułaskawianiu zwierząt dziko żyjących i wynikłej ztąd zmianie ich przyrodzonych popędów; o wykarmieniu np. zajączka przez charcicę i t. p. Do zbioru tych obserwacyi pozwalam sobie dodać jedną, którą mi w tym roku nastręczył przypadek, mianowicie o przyjaźni kota z gołębiem. Dzieci moje bawiąc przez lato na wsi dostały młodą koteczkę, wieku około 6 tygodni, nader zgrabne i miłe zwierzątko. Równocześnie prawie przyniesiono do domu młodego gołębia, wyjętego z gniazda, którego rodziców porwał jastrząb. Gołąbek był jeszcze w pałkach, niedołężny, sam jeść nie umiał i musiał być przez córkę moją hodowany. Umieszczono go w koszyku na ścianie, skąd w pierwszym tygodniu nie wychodził wcale, piszcząc tylko za zbliżeniem się ręki, która go karmiła. Koteczka zrazu przypatrywała się ciekawie temu nieznanemu jej stworzeniu, zaczęła się podkradać do koszyka, zaszła do środka i ułożyła się obok gołąbka. Brała ją wprawdzie pokusa pobawić się z nim po kociemu, ale widząc, że się biedactwo garnie i przytula do niej, jakby do matki, nie wyrządziła mu żadnej szkody. W ciągu kilku tygodni gołąb wypierzył się, przechadzał się swobodnie po domu i ogrodzie i zaczął podlatywać. Przyjaźń tych dwojga zwierzątek była coraz gorętsza, szukali się nawzajem i w najlepsze z sobą igrali. Z przyjemnością przyglądaliśmy się tym igrzyskom iście akrobatycznym, to kotka obejmuje gołębia łapkami, chowając starannie pazurki, to kładzie się na ziemi, rozwiera pyszczek, a gołąb dzióbie ją w język, w uszy, i tysiączne wyprawiają figle. Później nocował gołąb na poddaszu, a rano zaraz zlatywał na dzień dobry, skoro kotkę z pokoju wypuszczono. Nie wiem, na czemby się ta niezwykła przyjaźń skończyła, gdyby nie strata gołębia, którego pewnej nocy obcy kot czy inny jakiś drapieżnik porwał. Koteczka tęskniła widocznie po nim, szukała go wszędzie, posmutniała, i kiedy przedtem trzymała się domu, mając towarzysza, to teraz zaczęła się wydalać w sąsiedztwo i wreszcie zaginęła, lub też ją skradziono. Żałuję, iż dalsza obserwacya nie była możliwą aż do wyrośnięcia kotki i ptaka i nie można się było przekonać, ażali drapieżna natura niebyłaby i wtedy uległa wpływowi przyjaźni, zawiązanej z ptakiem w młodym wieku.

Z. R.

Z nad Sołokii Wrzesień.

„Sądy Boże — człek nie zmoże“, mawiano dawniej. Dzisiejszemu pokoleniu zdaje się, że ujęło przyrodę w karby, stanowczo zaprzecza ono twierdzeniu powyższej przypowieści, mimo tego jest rzeczą pewną, że potężniejszą jest moc Boża, jak rozum ludzki. Są okolice, jak np. nasza, mało dostępne. Ziemia nad Sołokiją, a w części i nad Bugiem płaska, nie mająca spadu, stąd wody tych rzek płyną leniwo, a miejscowości przylegające do nich, moczarne mimo mnogich rowów i kanałów. Że te środki osuszające nie wiele przyniosły korzyści, dowodem są ubiegłe wiosna i lato. Nad brzegami Sołokii, u stóp Bełzkich błot mieszkam już lat niemal czterdzieści, więc pamiętam je w dawnej formie, kiedy jeszcze rowy i kanały ich nie przecinały. W latach mokrych dzieje się po dawnemu. W tym roku były tygodnie, w których jak kaczki siedzieliśmy po ostrowach i kępach. A cóż się działo ze zwierzyną i ptactwem szczególnie błotnem? Sarny wraz ze słotą wyniosły się z niskich miotów w wyższe. Dziwiło to myśliwych, iż w okolicach małoleśnych pod Bełzem aż do Sokala i Waręża w lada lasku, gdzie zwykle ledwie kilka zajęcy przebywało, znajdowano w tym roku stadka sarn. Czy one się tam utrzymają — ja sądzę, że nie. Skoro oschną moczarne, rodzinne ich ostoje lub po pierwszym mrozie, przeniosą się do pierwotnych swych siedzib już z powodu wrodzonej skłonności do wędrówki, zwłaszcza za wodą. Gdzie nie ma strumieni lub jeziorek leśnych, tam się sarna nie utrzyma mimo obfitości żeru i spokoju. Dla wodnego ptactwa rok ten

nader pożądany. Ptactwo błotne bardzo ucierpiało, porzuciwszy swe macierzyste, wodą zalane pielesze, wyniosło się na mniejsze błotka i rudki. Bekas zniesie jakoś choćby zbyt wielką wilgoć, budując gniazdko na lada kępie, chociaż drogo, stratą swego potomstwa, przepłaca lekkomyślną niebaczność. Bekas zaledwo dni kilka karmi swe pisklęta, skoro się już wszystkie z jajek wykłuły, wyprowadza je matka na żerowisko ucząc szukania pokarmu, a mistrz głód dopełni tej nauki. Gdy wody zaleją błota, a bekasięta jeszcze latać nie umieją, i nie mogą z rodzicami ulecieć w inne, często bardzo odległe miejsca, to giną z głodu nie znajdując żeru. Dubelty i słonki jakkolwiek bardziej przezorne w obiorze pielesz, szukając w tym celu błot leśnych lub nawet gąszczy na nizinach leżącej, doznały w tym roku, szczególnie w okolicach nizinnych, nie małej klęski. Miejscowych dubeltów tam mniej będzie w tym roku, bo wyginęły w skutek braku żeru. Pojawiająca się w niektórych miejscowościach większa ich liczba wcale za dobry stan w ogóle uważaną być nie może, albowiem wszystkie one są stare, przeszłoroczne, i przyciągnęły ulegając popędowi wędrówki. Ośmielam się twierdzić, że drugi ciąg dubeltów, tak zwanych michałków, będzie w tym roku bardzo słaby, a może żaden. Nieraz już się przekonałem, że michałki zwykle bywają same młode, a zdaje mi się, że cały ten rok nie sprzyjał pierwszemu i drugiemu lęgowi. Słonki też nie miały w tym roku korzystnych dla siebie warunków. Zmuszane kilkakrotnie zmieniać miejsce na lęgowisko, znacznie spóźniły się z lęgiem, a potomstwo nie znajdowało dostatecznego żeru. Stara słonka łatwiej da sobie radę z wyżywieniem, ale młoda musi ginąć. Więc jesienny ciąg słonek podobno nie bardzo obiecujący. Jednem słowem bieda dla zwierzyny tak czworonożnej jakoteż skrzydlatej.

P.

Hryniawa 23. sierpnia 1884.

Do c. k. Dyrekcyi lasów i domen wniesiono następujące pismo: W nocy z d. 13. na 14. Sierpnia 1884. ubił Iwan Gieluk z Białoberezki w towarzystwie innych włościan pod Jaworową niedźwiedzia. Od dłuższego czasu podchodził on do bydla Iwana Gieluka i ubił mu krowę, konia, 11 owiec i kilkoro nierogacizny. Gieluk sprosił sąsiadów gospodarzy, by zasiąść wspólnie na owego ścierwiarza. W nocy z 13. na 14. Sierpnia udała im się zasadzka, niedźwiedź wyszedł po zdobycz, w pobliżu bowiem usłyszeli kwik świni, na które hasło ruszyli za nim w pogoń Iwan Gieluk i Mikołaj Droniek z siedmiu współtowarzyszami. Niedźwiedź żrąc ofiarę nie zważał na krzyk przybyłych, i dozwolił im przybliżyć się do siebie na 20 niemal kroków. Iwan Gieluk miał pojedynkę nabitą kulą, strzelił więc i trafił w sam łeb ponad okiem. Niedźwiedź po strzale pomknął do bliskiego potoka. Huculi pobiegli za nim, a nie mając kuli nabili pojedynkę sarnim śrótem, a Iwan Gieluk strzelił po raz drugi i trafił niedźwiedzia w szarawary. Rozsrożony włochacz rzucił się po strzale na swych prześladowców, a mianowicie na Mikołaja Dronieka z Jabłonicy, który nie tracąc przytomności, wpakował mu w paszczę ostrą siekierę. Mimo tego zwalił Dronieka na ziemię, przygniótł go swym ciężarem i pieścił nielitościwie. „Rubaj bratczyku, bo hynu", zawołał nieszczęśliwy, więc przyskoczyli towarzysze z siekierami, a Iwan Gieluk zadał niedźwiedziowi głębokie cięcie w kark. W tejże chwili chwycił ścierwnik rękę Dronieka i przegryzł ją do kości. Ponowne cięcie z ręki Gieluka było dla niedźwiedzia śmiertelnem, poczem oswobodzono Dronieka. Niedźwiedzia obielono i skórę oddano do zarządu. Droniek zmywał ranę wodą i solą. 21. Sierpnia oddano go pod opiekę Dra Kummera w Jabłonicy, ale już 22. zakończył on życie w skutek zgorzeliny, pozostawiając żonę i dzieci sierotami.

W zastępstwie c. k. leśniczego.
Jan Jasienicki, elew.

Dzienniki rosyjskie i warszawskie donoszą, że rząd na seryo zajął się ochroną żubrów w puszczy Białowiezkiej, gdzie jedynie te zwierzęta w skutek szczególnej opieki nad niemi dotychczas się zachowały. Liczba rzadkich tych a wspaniałych zwierząt spaść miała obecnie do 500. Mają być osuszone błota w puszczy celem przysporzenia pastwisk, i nadzór ma być zwiększony. Urządzone będzie hodowanie ich w zimie ustawianiem w dogodnych miejscach stert siana, a dla ustalenia spokoju w puszczy, mają być wzbronione polowania na lat kilka aż do czasu, w którym liczba żubrów się pomnoży.

Upraszamy sz. członków Tow. łow. jakoteż p. delegata tegoż Towarzystwa z okolic nad Wisłoką położonych, o doniesienie, o ile twierdzenia, wyrażone w artykule p. Eust. Grüna: „Z zachodniej Galicyi", zgodne są z prawdą. Redakcya „Łowca" umieściła ów artykuł w numerze 9tym bez uwag ze swojej strony spodziewając się, że myśliwi okolic z nad Wisłoki zechcą zabrać głos w tej sprawie, która ich wyłącznie dotyka. Nam się zdaje, że autor owego artykułu zbyt pesymistycznie na rzecz patrzy, i w obcym organie myśliwskim pragnie rzucić cień na nasze usiłowania podźwignienia łowiectwa krajowego.

Stawy. (Prof. Dr. M. Nowicki). O tych warszawska Gazeta rolnicza nr. 34, str. 420 tak pisze: „W dobrach Celejowskich na Powiślu Lubelskiem, 5 włók obszaru po wyciętym lesie obracają na urządzenie stawów. W ogóle hodowla ryb w tej części Lubelskiego, osobliwie w pobliżu Wieprza, widocznie się rozwija. W Żyżynie i Garbowie także urządzają nowe stawy. Gospodarze większych posiadłości zaczynają przychodzić do przekonania, że wobec niskich cen zboża, które jeszcze spaść mogą, skutkiem wzrastającej konkurencyi amerykańskiej, indyjskiej i t. d., uprawa ziemiopłodów na wielką skalę już się nie opłaci; myślą już o innych sposobach osiągnięcia dochodu z ziemi, a takim okazuje się hodowla ryb w okolicy ofitującej w wody". Pocieszający ten zwrot ku lepszemu w Królestwie, zawdzięczyć należy działaniu warszawskiej Spółki rybackiej, która podjęła dźwignięcie zaniedbanych gospodarstw stawowych i urządzanie nowych w okolicach stosownych, nadewszystko zaś niezmordowanej i pobudzającej pracy p. Michała Girdwoynia.

W Galicyi ruch w tym względzie także zaczyna się objawiać. Tak n. p. uzupełnił t. r. p. Aleksander Gostkowski w swej majętności Tomice koło Wadowic, stawy do 240 mórg i prawidłowo urządził przemienne gospodarstwo stawowe, które jako wzór może innym służyć do nauki (Czas n. 142); w Zatorze u hr. Potockiego przybywa corocznie kilka nowych stawów, w Krzyżu u ks. Eust. Sanguszki stworzył p. W. Habicht obszerne gospodarstwo stawowe, i t. d. Na wschodzie kraju Mieczysław hr. Dunin Borkowski w Mielnicy nad Dniestrem, zawołany gospodarz i wytrwały pracownik, postanowił jary swoje, przez które płynie potoczek, zamienić na stawy i celem urządzania takowych poznać wzorowe gospodarstwo stawowe p. A. Gostkowskiego i innych słynnych hodowców karpia. Szczęść Boże! hrabiemu w tej pożytecznej i patryotycznej dążności. Życzymy mu powodzenia tem szczerzej, ile że Mielnica stanie się przykładem i wzorem dla innych dziedziców na Podolu, posiadających rozległe jary z przepływającą wodą, które wybornie nadają się na intratne stawy, jak n. p. w Dźwiniaczce, albo w całej dolinie rzeczki Suchodołki między Chodorowem a Starem Siołem, wzdłuż toru kolejowego, i t. d., a gdzie dotąd zbierają siano szuwarowe małej wartości pokarmowej i pieniężnej. Na Pokuciu zamierzył p. Krzysztofowicz urządzić w swej majętności Załuczu nad Zbruczem racyonalne gospodarstwo stawowe, które da Bóg, pobudzi innych obywateli tej okolicy do naśladowania. O zbyt ryb nie ma się co obawiać, bo popyt za niemi z zagranicy jest i będzie zawsze większy, niż produkcya. Morga stawu przynosi w zachodniej części kraju rocznego dochodu w przecięciu co najmniej 50 złr., zaś we wschodniej, o ile wiadomo najwyżej 6 złr. lub stopniowo mniej aż do półtora centa. Wobec tego faktu życzymy, aby w Galicyi zawiązała się Spółka rybacka na wzór warszawskiej. (Tygodnik rolniczy nr. 11 str. 4) i podjęła dźwignięcie zaniedbanych gospodarstw stawowych, zwłaszcza, że w naszych szkołach gospodarstwa rolnego i leśnego nie udzielają nauki rybactwa, a dla chcących nauczyć się praktycznie wzorowego gospodarstwa rybnego nie ma stypendyów przez Rząd lub Sejm ustanowionych.

Rak. (Prof. Dr. M. Nowicki). Oddział Tow. rybackiego w Mikulińcach, otrzymał od kilku swoich delegatów o raku następujące doniesienia: a) Od p. Stanisława Vogla z Janowa nad Seretem: „Raków nie ma tyle, aby je świniom do spożycia dawano, lub nawet palono; jednakowoż prawdopodobnie dałby się w tym względzie wprowadzić handel rakami z zagranicą. Uprasza się uprzejmie o postaranie się informacyi, jakim sposobem i w jakich naczyniach raki mogłyby być w odległe kraje transportowane. — b) Od p. Leop. Białeckiego z nad Zbruczu: „Donoszę uprzejmie, że o istnieniu takiej obfitości raków w tutejszej okolicy nawet nie słyszałem nigdy, chociaż mieszkam blisko lat 18 w Husiatynie. Są wprawdzie raki w Zbruczu, ale w bardzo małej ilości, które się w norach tej rzeki ukrywają". — c) Od p. Ant. Szareka z Kopyczyniec: „Mam zaszczyt uwiadomić Szan. Zarząd, że tutejsza okolica, o ile mi jest znaną, nie może się poszczycić tak wielką obfitością raków, żeby ich aż na niewłaściwy cel używano. Nie mogę też udzielić wyczerpującego sprawozdania, czy okolica ta jest, że tak powiem, ojczyzną raków i stanowić może wyłączne źródło dochodów. Pochodzi to z braku zamiłowania do tej gałęzi przemysłu, a względnie z niewłaściwego gospodarstwa wodnego, które niestety jest tu zaniedbanem. Owe sławne niegdyś z obfitości ryb i raków stawy podolskie nikną powoli z horyzontu, są zupełnie zachwaszczone i przechodzą zwolna na łąki i pastwiska, jak n. p. w Niżborku i Kopyczyńcach. Upadek ten przypisać należy samym właścicielom,

którzy na czyszczenie stawów nie chcą robić wydatków. Gospodaruje tu tylko sama przyroda, a z nią chciwi zysku spekulanci wyznania mojżeszowego, którzy wydzierżawiając co 3 lata stawy dla odłowienia ryb za pomocą spustu wody, przyczyniają się powoli do zupełnej zagłady tego rodzaju gospodarstwa. O ile zasięgnąć zdołałem wiadomości, najwięcej raków ma być w stawach ciągnących się od Krogulca przez Kociubińce i Żabińce, a będące własnością obszarów dworskich. Nie stanowią one jednak żadnego źródła dochodów już z tego tytułu, że służą tylko na wyłączny pożytek właściciela. Przystęp do stawu zwykłym śmiertelnikom jest bezwarunkowo wzbroniony, a z tego tytułu i dochód jest zakwestyonowany". — d) Od p. T. Fedorowicza z Klebanówki: „W naszej okolicy nie ma nigdzie tyle raków, żeby nie wiedziano, co z nimi robić. Gdy dla siebie potrzebuję, płacę za sztukę po cencie. Miejscami ma być ich wiele, lecz łowienie drogo się opłaca". — Następnie oznajmił p. Wład. Tustanowski ze Lwowa: „W istocie jest w mojej okolicy przy linii kolejowej Lwowsko-Czerniowieckiej w oddaleniu 1 do 1½ mili od stacyi stawów 10, które obfitują w raki średniej wielkości. Stawy te co trzy lata bywają częściowo spuszczane dla połowu ryb i w tym czasie raki masami ogromnemi zbierane bywają; chłopi łowią je przez cały rok dla swego użytku. Otóż starałem się już o odbyt na nie do Lwowa i Wiednia, lecz chciano małą ich ilość tylko brać dziennie za bardzo małą cenę, tak że nie wypłacałaby się łówka i koszta transportu do kolei. Gdybyście panowie chcieli nam odbyt stały zapewnić, robiąc je artykułem wywozowym, byłoby to wielkiem dla naszej okolicy dobrodziejstwem i stanowićby mogło w przyszłości znaczne podwyższenie dochodu ze stawów, które z każdym prawie rokiem mniejszą ilość ryb mają. Mój staw w Knihyniczach ma 380 morgów, a nie jest on największym w okolicy. Gdyby prof. Nowicki chciał się kiedy wybrać w nasze strony, mógłby nam niejedną dać radę i wskazówkę, których bardzo potrzebujemy." — Według pana Kudasiewicza było w Gawłówku przed 15 laty dużo raków. — Według Redakcyi „Korespondenta Płockiego" słynął niegdyś z raków Bieżuń nad rzeką Wkrą, w powiecie Sierpeckim. — Ktoby miał raki do zbywania, ten niech się zniesie z firmą: Micha, Hoflieverant w Berlinie. (Gazeta Lwowska n. 293. z d. 24. Grudnia 1883), a p. Micha przyszle swoich ludzi na miejsce, którzy raki zabiorą i zapłacą. Wobec ważności raka dla własnej potrzeby i dla handlu, byłoby bardzo do życzenia, aby Sejm nasz wydał ustawę chroniącą raka od dotychczasowego tępienia przez wyławianie młodych oraz matek z ikrą. Ochrony tej domagał się hr. Artur Potocki na posiedzeniu ankiety, która się odbyła w Namiestnictwie dnia 4. Stycznia 1883 r. dla ułożenia przepisów wykonawczych do ustawy rybackiej, następnie przemawiał za nią „Dziennik Polski" z Czerwca 1883 i t. d. W innych krajach monarchii austryackiej i za granicą rak doznaje ochrony pospołu z rybami; u nas Sejm pominął raka w ustawie rybackiej uchwalonej na posiedzeniu z dnia 27. Września 1882 r., przeto zachodzi potrzeba osobnej ustawy, o której wydanie też Towarzystwo rybackie wniosło prośbę do Sejmu na ręce hrabiego Artura Potockiego.

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.